



Magazyn **TATERNIK**
Polskiego Związku Alpinizmu ISTNIEJE OD 1907 ROKU

2
1999

Spis treści

Rozmowa z Leszkiem Cichym	1
Rozmowa z Wojciechem Święcickim	4
W odpowiedzi „zrezygnowanemu” prezęsowi	6
Śmieszne zakazy	7
Everest – sukces i tragedia	8
Arktyczna lekcja	9
Zimą w Feichtnerschachthöhle . . .	16
Zastosowanie liny w skale i lodzie .	17
Pit Schubert	22
Asekurujemy i jedziemy	23
Popularność wspinaczek w minionych latach	26
Troje kursantów i instruktor	27
Nasi na targach	31
Podręcznik turystyki górskiej	32
Jaskinie i speleologia	34
Sprawy różne	36

Zdjęcie na okładce: Mnich z Wielkiej Galerii
Cubryńskiej.

Fot. A. Kłos

Zdjęcie obok: Ciężka praca instruktora.

Fot. G. Kostuń

ISSN 01373155

<http://pza.org.pl>



20 kwietnia Leszek Cichy zrezygnował z funkcji prezesa PZA

ROZMOWA Z LESZKIEM CICHYM

– Stała się rzecz bez precedensu – dymisja prezesa Polskiego Związku Alpinizmu. „Taternik”, pismo wydawane przez Związek, jest na pewno właściwym miejscem do umieszczenia Twojej wypowiedzi dla środowiska. Dlaczego więc złożyłeś rezygnację?

– Moja oficjalna wypowiedź jest zawarta w treści pisma skierowanego do Leszka Dumnickiego jako przewodniczącego Komisji Rewizyjnej. W zasadzie możliwe jest tylko jej rozwinięcie. Podaję tam tak naprawdę jeden, jedyny powód: poziom współpracy pomiędzy prezesem a większością członków Zarządu. I to uważam za kluczowe zdanie. Moje chęci działania nad realizacją zadań czekających nas w tej kadencji mają niewielką szansę się przebić. I abstrahując od tego, czy spór tutaj toczony ma inne sensowne rozwiązanie, po prostu uznałem, że moja możliwość wpływu na to, co robi PZA, jest mała. Kierowanie zespołem, w stosunku do którego jest się w opozycji, jest nieefektywne. Dlatego za zdrową uważam sytuację, kiedy pełną odpowiedzialność wezmą Ci, którzy i tak decydują o tym, w którą stronę Związek idzie. Uważam, że to jest sytuacja normalniejsza.

– Nie pierwszy raz jestem w Zarządzie i wiem, że zawsze zdarzały się różnice zdań, nigdy nie był to jakiś monolit. Byliśmy bardziej lub mniej zgodni, ale wiadomo – w takim ciele, wybieranym przez bardzo zróżnicowany skład delegatów, muszą się znaleźć osoby, które mają różne zdania. Czy naprawdę uważałeś, że

dalsza współpraca nie była możliwa? Dotąd nie dochodziło do tak spektakularnych rozłamów...

– To nie jest rozłam. To, wbrew pozorom, jest

*Przewodniczącą
Komisji Rewizyjnej
Polskiego Związku Alpinizmu
kol. Leszek Dumnicki*

Z przykrością informuję, że biorąc pod uwagę poziom współpracy pomiędzy Prezesem a większością członków Zarządu PZA w okresie sześciu miesięcy po Walnym Zjeździe Delegatów, składam rezygnację z funkcji Prezesa Polskiego Związku Alpinizmu.

Kierowanie zespołem, w stosunku do którego jest się w opozycji, nie jest ani celowe, ani efektywne. Jednocześnie, bardzo sobie ceniąc ponad 30-letnią obecność w środowisku i znajomość specyfiki społecznej pracy na rzecz PZA, deklaruję gotowość wspomagania w przyszłości prac Związku dla dobra środowiska wspinaczkowego w Polsce.

Pozostaję z poważaniem.

Leszek Cichy

Warszawa, 20 kwietnia 1999 r.

ujednoczenie stanowiska Zarządu. W tym sensie sytuacja obecnie będzie zdrowsza. Natomiast czy dalsza współpraca była możliwa? Myślę, że jej kontynuowanie prowadziłyby do konfliktów i nerwowości. Rozpatrując z punktu widzenia przyszłości PZA, aktualna sytuacja jest normalniejsza i mam nadzieję, że daje lepsze perspektywy na przyszłość.

– Czy uważasz, że w Zarządzie nastąpił taki rzeczywisty podział na strony, czy nie były to po prostu różnice zdań dotyczące jednej lub kilku spraw...

– Ja sądzę, że sprawa była trochę szersza, że jest to różny punkt widzenia na sposób działania, przyszłość i zadania w końcu sportowego związku. Może trochę za mało naciskałem na konieczność zmiany metod pracy Zarządu w poprzedniej kadencji. Wydaje mi się (a dotyczy to dużej części związków sportowych), że tkwimy w gorsze dziejące się przepisów, ale też nie zmieniliśmy swojego sposobu działania. A są już według mnie przesłanki możliwości takich zmian w stosunku do układów sprzed lat dziesięciu. My dalej jednak działamy w starej strukturze i przy starej mentalności. Nie jest to nowoczesnie prowadzony związek sportowy o menedżerskim sposobie zarządzania. Obecny sposób nie gwarantuje efektywnego dysponowania kwotą znaczną, bo w tym roku jest to 700 tysięcy i jeszcze 250 tysięcy dotacji celowej na budowę sztucznych ścianek.

– Może nie powinienem tu polemizować, ale obserwując rozwój sytuacji uważam, że można było podjąć próbę naprawienia stosunków, ponieważ nie wydaje mi się, żeby konflikt rozegrał się na płaszczyźnie personalnej...

– Myślę, że główne pole polemiki to sposób widzenia przyszłości Związku, hierarchii celów i sposobów ich realizacji. Jeszcze raz chciałem podkreślić, że z mojego punktu widzenia konflikty personalne nie miały większego znaczenia. Istotniejsze były różnice w widzeniu ról i celów działania PZA. Według mnie ten sposób pracy Zarządu, jaki się w ostatnim półroczu przejawiał, nie gwarantuje sukcesu w przyszłości. I będzie znacznie lepiej, gdy decyzje zapadać będą ze świadomością pełnej za nie odpowiedzialności. Uważam, że w ten sposób mają szansę być znacznie bardziej wyważone. Taką mam przynajmniej nadzieję...

– No tak, ale jeżeli jako szef tego ciała uważałeś, że funkcjonujemy nie tak, jak powinniśmy, może trzeba było podjąć próbę zreformowania układu. Pewne próby podejmowałeś, ale może trzeba było wałnąć pięścią w stół i powiedzieć: panowie, tak nie będziemy pracować...

– Bardzo wiele tego typu rozmów prowadziłem z poszczególnymi członkami Zarządu. Bezpośrednio po zjeździe rozmawiałem z każdym i przedstawiłem jak według mnie powinniśmy pracować. Sądzę, że wyczerpały się już możliwości kreowania zmian w tym zakresie. Również rozmowy prowadzone z Komisją Rewizyjną jasno stawiały sprawę pewnych przemyśleń. Nie jest więc tak, że moja decyzja była jak grom z jasnego nieba... Od Zjazdu poświęcałem Związkowi bardzo dużo czasu i pracy. Nie chcę jednak kierować Związkiem za wszelką cenę. Żeby nie doprowadzać do dalszych napięć uznałem, że najlepsza w sumie decyzja to jest decyzja o rezygnacji... Takie walnięcie pięścią w stół mogłoby unormować sprawy na pewien czas, ale podskórne procesy dalej by się toczyły. To nie zmieniłoby sposobu działania na dłuższy okres.

– Zapewne wszystkich interesują konkretne sprawy, z powodu których doszło do ujawnienia się takiej ostrej różnicy zdań. Złośliwi twierdzą, że jesteś ostatnim, który poległ za Lwów... No więc: czy to były kwestie związane z obsadą redakcyjną „Taternika” i stanowiska rzecznika prasowego PZA, czy raczej coś innego?

– Nie, absolutnie nie! Uważam, że oprócz już wymienionych różnic na tematy zasadnicze było parę punktów spornych, o różnym kalibrze: skład Zarządu jako takiego, praca Zarządu, składy poszczególnych komisji. Według mnie komisje bardzo się zatomiastowały. Tak naprawdę mamy kilka związków w Związku. Przykładem było wystanie przez Komisję Wypraw i Wyjazdów Górskich ekipy, której skład nie został zatwierdzony przez Zarząd. Po prostu pozycja w budżecie była rzeczą najważniejszą, ważniejszą niż sposób jej realizacji i zasadność wydania dotacji... Jeżeli mamy być jednym związkiem środowiska – Polskim Związkiem Alpinizmu, a nie luźną federacją, musimy działać inaczej. Powstanie zbyt dużych komisji powoduje, że rola Zarządu i jego możliwości koordynacji prac PZA dramatycznie maleją. W ten sposób decyzje o realizacji budżetu zapadają poza Zarząd. A potem pojawiają się takie zastrzeżenia, jak na ostatnim walnym zjeździe, dotyczące jawności i jasności kryteriów dofinansowania imprez. Na pewnym etapie realizacji wyjazdów jako Zarząd nie mieliśmy już nad tym kontroli.

Co do Alka Lwowa – jest to tylko przykład syndromu personifikacji problemów w związku. Nie rozwiązywało się spraw szukając optymalnych rozwiązań, nie umiano „stanać ponad podziałami”, przeważały prywatne urazy i personalne niechęci. Ja mogę mieć do Alka sporo zastrzeżeń, ale uwa-

zam, że w tym przypadku należało postąpić absolutnie pragmatycznie. To znaczy lepiej mieć taką osobę jak on, z jego poziomem wiedzy, jego stopniem zaangażowania i fachowości, po stronie Związku, niż przeciwko Związkowi. Nie chodzi o to, że nie został przegłosowany jako redaktor „Taternika” – bo do tego Zarząd miał pełne prawo. Chodziło o to, że nie była to, według mnie, decyzja merytoryczna. Bo w tej kwestii był tylko problem precyzyjnego zawarcia i spisania umowy oraz określenia sposobu odwołania – dotyczy to zarówno stanowiska redaktora, jak i rzecznika prasowego. Nie należy personifikować narastających konfliktów.

– A działanie układu prezes – urzędujący wiceprezes? Czy jako szef odpowiedzialny za nasze funkcjonowanie rozmawiałeś z Wojtkiem Świącickim i zgodnie ze swoją koncepcją ustawiłeś zakres jego pracy?

– Sytuacja była dosyć niezręczna. Wydawało mi się, że zostało to ustalone między nami na zjeździe. Trudno było potem coś narzucać, bo każdy jest odpowiedzialny i rozumie jaka jest różnica pomiędzy działającymi społecznie a funkcją urzędującego wiceprezesa. Oczywiście można było naciskać i wyjaśniać, że nie taki zakres działania w czasie zjazdu miałem na myśli.

– Co do samej idei „urzędującego prezesa” to w dalszym ciągu uważam ją za słuszną. Wojtek nie spełnił oczekiwań w tym zakresie. Myślę, że jest potrzebny ktoś, kto będzie organizował pracę Zarządu, przygotowywał zebrania i podejmował decyzje w sprawach bieżących. Tylko to powinien być ktoś z Warszawy, kto będzie mógł pracować nawet kilka godzin dziennie. Tak działa każda nowoczesna, zarządzana menedżersko organizacja.

– Porzućmy teraz ton rozliczeniowy. Przystałeś być prezesem PZA, jesteś wiceprezesem instytucji znacznie większego kalibru... Powiedz, co dalej? Czy to oznacza rezygnację z aktywności górskiej, czy może przeciwnie? Jakie są Twoje dalsze plany?

– Nigdy nie zrezygnowałem z aktywności górskiej i myślę, że jakiś kolejny wyjazd na jesieni tego roku uda się zorganizować. Jednocześnie, zgodnie z tym co napisałem w piśmie do Komisji Rewizyjnej, deklaruję gotowość pracy społecznej na rzecz

Związku i środowiska. Sprawę pozostawiam otwartą...

– Wróćmy jeszcze do perspektyw Związku...

– Myślę, że nie powinno się zwoływać żadnego przedterminowego walnego zjazdu, bo jest to bezzasadne z punktu widzenia statutowego oraz ze względu na koszty. Wydaje mi się, że niewiele by to mogło zmienić. Sądzę, że należy dać Zarządowi czas do końca kadencji w takim składzie w jakim działa. W końcu tak naprawdę niewiele się zmieniło, gdyż z 13 wybranych działa nadal 12 osób. Należy dać zarządowi te 2,5 roku, w czasie których wykaże on odpowiedzialność w swojej działalności. A myślę, że rzeczywiście czeka nas dużo zmian związanych z całym sposobem finansowania Związku. Wydaje się, że w Urzędzie Kultury Fizycznej naprawdę zaczyna się bardziej elastyczne podejście do sposobu rozliczania dotacji i finansowania związków sportowych. Tego wymagają też coraz bardziej ci, którzy będą rozliczać zarząd na walnym zjeździe.

Jeśli miałbym służyć radami, to sądzą, że Związek powinien przejść głęboką metamorfozę. To znaczy powinna to być organizacja prowadzona w sposób absolutnie menedżerski pod względem poziomu zarządzania. Musi być traktowana jak firma, która wydaje określone pieniądze. Trzeba mieć jasne preferencje na co chce się je wydać, żeby maksymalizować skutki z tego wyniku. Jeżeli analizujemy tegoroczny kalendarz imprez, wystarczyłoby, żeby chociaż 1/3 tych wypraw i wyjazdów się udało. Przy odpowiednim marketingu moglibyśmy być związkiem, który ma najwięcej sukcesów w polskim sporcie. Dlatego uważałem za tak ważne powołanie rzecznika prasowego PZA.

Wydaje się, że za mało myśleliśmy o rzeczach ponadczasowych, o takich rzeczach jak określone publikacje, dofinansowanie opracowań, monografii. My jako związek nie mamy materialnych dowodów istnienia PZA – swojej siedziby, swoich monografii, opisaną historię. Tego, co tworzy tradycję wielkich i silnych związków na Zachodzie. Poza znacznikiem PZA i albumem nie mamy nic swojego... Przygniecenie codziennymi sprawami 100% środków przeznaczamy na bieżące potrzeby.

Rozmawiał: *Rafał M. Kardaś*

Sukcesy Tomasza Oleksego

W Pucharze Polski, w Krakowie 5-6 maja 1999 roku Tomasz Oleksy wygrał zawody na czas. W konkurencji na trudność był trzeci (najlepszy z Polaków).

Podczas zawodów o Puchar Świata w Lipsku (28-30 maja) Tomasz Oleksy wygrał konkurencję na czas pokonując w finale Hiszpana Daniela Arkadę.

ROZMOWA Z WOJCIECHEM ŚWIĘCICKIM

– Wypada zacząć od kurtuazyjnych gratulacji. Jesteś teraz szefem Polskiego Związku Alpinizmu.

– Kurtuazyjnie dziękuję. Niestety, nie odczuwam żadnej satysfakcji, nawet tej gorzkiej.

– **To interesujące. Podczas ostatniego Walnego Zjazdu kandydowałeś przeciw do fotela prezesa Związku.**

– To prawda, ale wówczas po uzyskaniu takiej samej ilości głosów co Leszek Cichy wycofałem swoją kandydaturę na rzecz mojego rywala. Tym samym porzuciłem wszelką myśl o pełnieniu tej szczytnej funkcji.

– **Jakie były motywy takiej reakcji?**

– Uważałem, że Leszek jest odpowiedniejszym kandydatem, co wyraziłem publicznie.

– **Sprawiałeś wówczas wrażenie, że nie chcesz uczestniczyć w dalszej części wyborów.**

– Nie chciałem stawiać Leszka w kłopotliwej sytuacji.

– **Jednak zmieniłeś zdanie.**

– Wpłynęły na to prośby wielce poważanych w związku osób: Leszka Dumnickiego i Janusza Majera oraz, czego nie ukrywam, oczekiwania moich wyborców.

– **Po sławnej już debacie za zamkniętymi drzwiami wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze...**

– Rzeczywiście, byłem przekonany, że wszystko ułoży się pomyślnie. Komisja Matka rekomendowała Leszka do roli prezesa, a mnie do pełnienia funkcji urzędującego wiceprezesa. Tak zostaliśmy zaprezentowani Zjazdowi i tak też przez delegatów wybrani, uzyskując niemal identyczną liczbę głosów.

– **Skład Zarządu nie budził wówczas większych emocji.**

– W obecności przewodniczącego komisji rewizyjnej ustaliliśmy z Leszkiem wspólnie skład Zarządu i złożyliśmy pod tą listą nasze zamaszyste podpisy.

– **Głosowanie przebiegało jednak nieco inaczej niż zakładały to wasze wspólne uzgodnienia.**

Takie są prawa demokracji. Jedni uzyskują mandat zaufania społecznego, a inni nie. Dzisiaj nie powinno to już nikogo dziwić. Należy jednak wyraźnie powiedzieć, że na 12 zaakceptowanych przez Leszka osób, do nowego Zarządu weszło aż 10.

– **Porozmawiajmy teraz o pierwszych miesiącach nowej kadencji.**

– Odbyły się 3 zebrania Zarządu, którym przewodniczył Leszek, oraz trzy zebrania prezydium, z których dwa pod nieobecność prezesa prowadziłem ja. Miały one rutynowy porządek oraz przebieg. Nie uważam, aby wydarzyło się w trakcie tych zebrań coś odbiegającego od normy.

– **Aż do feralnego czwartego zebrania**

– Nikt się niczego nie spodziewał. Zaskoczenie było całkowite. Pozwolę sobie zacytować fragment z protokołu zebrania Zarządu z dnia 20 kwietnia 1999 r. „Na początku zebrania kol. Leszek Cichy odczytał oświadczenie, w którym zrzekł się pełnienia funkcji prezesa PZA, a następnie nie dopuszczając do żadnej dyskusji, pożegnał się i wyszedł”.

– **Czy chcesz to jakoś skomentować?**

– Kadencja, na którą zostaliśmy wybrani, trwa 3 lata.

– **Leszek w swoim oświadczeniu twierdzi, że znajdował się w opozycji w stosunku do większej części Zarządu.**

– Trudno mi rozstrzygnąć o tym jakie były odczucia Leszka. Uważam jednak, że jakie by one nie były, to na prezesie ciąży obowiązek dążenia do konsensusu. Wszyscy członkowie Zarządu mają taką samą legitymację społeczną, a co za tym idzie, mają prawo (a nawet obowiązek) do reprezentowania swoich wyborców i ich interesów. Wyjątkowość prezesa polega na prawie do reprezentowania Związku na zewnątrz. W łonie Zarządu prezes jest pierwszym pomiędzy równymi. Jego głos jest rozstrzygający tylko w przypadku remisu w głosowaniu. Główną powinnością w codziennej pracy prezesa jest kierowanie podległym zespołem. Naiwnością byłoby sądzić, że jest to łatwe zadanie.

– **Czy mam przez to rozumieć, że prezes zrezygnował przedwcześnie?**

– Jestem głęboko przekonany, że gdyby Leszek podjął jakąkolwiek próbę rozładowania napięcia, to osiągnąłby zamierzony cel. Nie sądzę, aby ktokolwiek z Zarządu siłił się na złośliwość.

– **Pozostaje mieć nadzieję, że teraz ty nie będziesz miał podobnych kłopotów.**

– Oczywiście takie ryzyko istnieje zawsze, ale w świetle zaistniałej niedawno sytuacji trudno mi sobie wyobrazić abym i ja skorzystał z furtki o nazwie rezygnacja.

– **Pełnisz zatem obowiązki prezesa...**

– Wyraziłeś to ściśle. Nie jestem prezesem, gdyż prawo do noszenia tej godności ma tylko osoba wybrana przez delegatów podczas Walnego Zjazdu. Na skutek rezygnacji tak wybranego prezesa, Zarząd PZA w głosowaniu powierzył pełnienie obowiązków prezesa właśnie mnie. Przyjąłem ten obowiązek dlatego, że jako urzędujący wiceprezes po prostu nie mogłem odmówić.

– **Wiadomo, że postulowałeś zwołanie Nadzwyczajnego Walnego Zjazdu w celu wyborów nowego prezesa związku.**

– To prawda. Zaraz po rezygnacji Leszka złożyłem taki wniosek. Uważałem, że w sytuacji, gdy do końca kadencji pozostało jeszcze dwa i pół roku, nie należy zadawała się substytutem. Zarząd jednak postanowił inaczej. Uznał za decydujące, że podczas Walnego Zjazdu w trakcie pierwszej tury wyborów uzyskałem tyle samo głosów poparcia co Leszek Cichy.

– **Czy rola p.o. prezesa ci odpowiada?**

– Myślę, że znacznie bardziej niż rola pierwszego. Jak dobrze wiesz, znacznie lepiej czuję się realizując konkretne zadania, niż wtedy gdy trzeba błyszczeć na salonach. Dlatego chętnie odstąpię zaszczyt otwierania i uświetniania zaproszonym gościom. Nie odczuwam potrzeby pokazywania swojej twarzy przy każdej okazji. Poza tym wszyscy już mnie widzieli.

– **Rzeczywiście trudno powiedzieć, abyś był nową twarzą w zarządzie. Ile to już lat?**

– Po raz pierwszy uzyskałem mandat delegata na walny zjazd PZA w roku 1986. Pojechałem do Zakopanego jako szeregowy instruktor (bez najmniejszych nawet marzeń o karierze działacza), a wróciłem jako przewodniczący Komisji Szkolenia. Miała być jedna kadencja, zrobiło się nieoczekiwanie pięć.

– **Trzeba przyznać, że zawsze miałeś duże poparcie.**

– Jeśli mierzyć wynikami wyborczymi, to tak. Nigdy nie uzyskałem mniej niż 75% oddanych głosów. Bardziej mnie jednak cieszy, że mam wielu oddanych przyjaciół. To moje największe osiągnięcie.

– **Masz też wrogów, którzy wcale się nie kryją i nie przebierają w środkach.**

– Moja odpowiedź jest prosta. Demokracja daje wszystkim równe prawa. Jeżeli oponenti staną się reprezentantami swojego środowiska, uzyskają mandat delegatów, zostaną wybrani do władz związku, to proszę bardzo — mają pełne pole do popisu. Na razie reprezentują wyłącznie siebie, nawet jeśli głośno krzyczą, że jest inaczej.

– **Czy zapoznałeś się z treścią wywiadu udzielonego „Taternikowi” przez Leszka Cichego?**

– Uważam, że wyrządza on jego autorowi dużą szkodę. Związkowi niestety też.

– **Czy chcesz coś skomentować?**

– Ustępujący przed czasem prezes zostawia nam spory pakiet dobrych rad. Szkoda tylko, że trzy lata poprzedniej kadencji okazały się zbyt krótkie, aby którąkolwiek z nich wcielić w życie.

– **Leszek Cichy wyraża pogląd, że nie spełniłeś oczekiwań jako urzędujący wiceprezes.**

– Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że prezes jako mój pracodawca nigdy nie wyjawiał jakie są jego oczekiwania w tym zakresie.

– **Czy już rozpocząłeś urzędowanie?**

– Jakżeby inaczej. Oprócz spraw bieżących (browe pozorom z tym właśnie jest najwięcej pracy) spędziłem trochę czasu w UKFIT. Spotkałem się z dyrektorami trzech departamentów i jestem zadowolony z tych wizyt. Uzyskałem poparcie dla nowych projektów.

– **Czyżyby coś niezwykłego?**

– Myślmy o modernizacji bazy pobytowej w Tatrach. Wątpię jednak czy uda się zakończyć dzieło przed końcem tej kadencji.

– **Jakie sprawy uważasz za najważniejsze do załatwienia w bieżącej kadencji?**

– Po pierwsze, co zupełnie oczywiste, będziemy dążyć do zrealizowania wniosków i zaleceń Walnego Zjazdu Delegatów PZA. Wśród ważniejszych spraw warto tu wymienić: wyodrębnienie i usamodzielnienie komisji wspinaczki sportowej na zasadach podobnych do KTJ, dofinansowanie szkolenia dla początkujących i zaawansowanych, kolegialne działanie komisji wypraw i wyjazdów (która nawiasem mówiąc zgodnie z uchwałą walnego zjazdu liczy sobie 10 członków), załatwienie sprawy kompleksowego ubezpieczenia wspinaczy od NW, negocjowanie z TPN udostępnienia Tatr Zachodnich oraz wiele innych.

– **A tzw. inne sprawy?**

– Jest tego sporo. Rozpoczynamy rozmowy z dyrekcją parków jurajskich w sprawie dostępności do jaskiń i zalegalizowania osadzania stałych punktów asekuracyjnych, zmagamy się z projektem nowych przepisów dotyczących uprawiania alpinizmu, ciągle nie jesteśmy w pełni zadowoleni z dotychczasowych zasad rozdziału dotacji.

– **Jakie są priorytety?**

– Oczywiście sprawy znane ze zjazdowej dyskusji: powiększenie grupy osób uprawiających wspinaczkę zimową i alpejską, usamodzielnienie się pionu sportowego, kontynuacja akcji osadzania stałych ubezpieczeń i poprawa kondycji organizacyjnej klubów.

Rozmawiał *Andrzej Kłos*
Sokoliki 5.06.1999 r.

W odpowiedzi „zrezygnowanemu” prezesowi

Zaskoczenie związane z rezygnacją Leszka Cichego z funkcji Prezesa PZA to nic w porównaniu z wrazeniem, jakie wywarł na mnie wywiad udzielony przez niego dla miesięcznika „Góry i Alpinizm”.

Staram się zrozumieć pobudki kierujące Leszkiem przy udzielaniu tego wywiadu, ale wszelkie racjonalne tłumaczenia zawodzą.

Pół roku temu, kiedy podejmowałem decyzję pracy w Zarządzie PZA, miałem dość jasno sprecyzowane cele i już od pierwszego posiedzenia Zarządu przystąpiłem do ich realizacji. Z wywiadu Leszka dowiaduję się natomiast, że moje starania to nic innego jak „...utrwalanie stylu i sposobu działania z poprzedniej kadencji”. Dobrze, że nie widziałem miny Maćka Pawlikowskiego i Staszka Piecucha, z którymi często dyskutowaliśmy o nowych koncepcjach i propozycjach zmian, kiedy dowiedzieli się, że w oczach prezesa nasze rozmowy to nic innego jak planowanie sposobów wzbogacenia się na dotacjach lub obmyślanie sposobów torpedowania błyskotliwych i dynamicznych koncepcji Leszka Cichego. To prawda, że w czasie obrad widoczne były różnice zdań, ale nie wynikały one z personalnych antypatii tylko z innego sposobu postrzegania omawianych zagadnień.

Wróćmy jednak na chwilę do początku wspomnianego wywiadu, gdzie Leszek Cichy prezentuje najważniejsze jego zdaniem zadania na bieżącą kadencję Zarządu. Zauważyć chcę, że zadania te wynikały z uchwał Walnego Zjazdu, a nie z elokwencji prezesa i nikt z członków Zarządu nie miał wątpliwości co do ich słuszności. Różnice rysowały się w kwestiach związanych ze sposobami ich realizacji, co przy uwzględnieniu krótkiego czasu, który upłynął od Walnego Zjazdu, było czymś zupełnie naturalnym. Do czasu rezygnacji Leszka Cichego odbyły się trzy spotkania Zarządu. Pierwsze poświęcone było w całości sprawom związanym z uchwaleniem budżetu na rok 1999 (konstruowanego de facto przez Zarząd poprzedniej kadencji), drugie to tworzenie poszczególnych komisji i rozstrzygnięcie konkursu na redaktora „Taternika” oraz próba wyboru rzecznika prasowego PZA.

Tutaj na moment się zatrzymam, bo w moim przekonaniu sprawy te miały główny wpływ na decyzję Leszka Cichego. Kandydatem lansowanym przez prezesa był Aleksander Lwow. Dyskusja na temat tego kandydata była długa i zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy tej kandydatury swoje stanowiska uzasadniali konkretnymi argumentami. Przy pomnę, że kandydatura Aleksandra Lwowa złożona została w czasie Walnego Zjazdu i tam spotkała się z głośną dezaprobatą delegatów. Dlaczego więc łatwy do przewidzenia negatywny wynik głosowa-

nia został odebrany przez Leszka Cichego jako osobista porażka?

Trzecie spotkanie Zarządu sparaliżowała druga nieszablonowa propozycja (pierwsza to Aleksander Lwow jako rzecznik PZA), jaką zasugerował nam Leszek Cichy. Była nią próba dokonania zmian w składzie Komisji Wspinaczki Sportowej, który to skład został ustalony i zaakceptowany przez wszystkich łącznie z nim samym na poprzednim posiedzeniu Zarządu. Dokładnie chodziło o wprowadzenie do komisji drugiego przedstawiciela klubu Reni Sport (niewtajemniczeni nie wiedzą, że Leszek Cichy posiada udziały w tym klubie). Temat kooptacji zdominował obrady i zabrakło czasu na omówienie zagadnień przygotowanych na to posiedzenie. Na marginesie warto dodać, że jedyną osobą, która wiecznie śpieszyła się i nie mogła zarezerwować sobie dość czasu na obrady mimo miesięcznego wyprzedzenia, był sam prezes. Oznacza to, że z 6 miesięcy trwania kadencji, o którym mówi w wywiadzie do GiA Leszek Cichy, robią się więc zaledwie trzy spotkania, po których to bez uprzedzenia ani jakiegokolwiek rozmowy obrażony prezes rezygnuje z pełnienia swojej funkcji. Myślę, że taka postawa nie wymaga komentarza. Dalsze pomówienia, do których posuwa się Leszek Cichy w swoim wywiadzie dla GiA, są chyba wynikiem braku wiedzy na temat spraw dziejących się w PZA. Powtórzę za Andrzejem Zawadą – to bardzo niedobrze, jeśli ktoś bez zastanowienia decyduje się na piastowanie funkcji społecznych. Czarne wizje i nawoływanie o rozsądek to zagrywki poniżej pasa graniczące z demagogią, których celem jest chyba tylko zrobienie szumu wokół całej sprawy i przedstawienie ustępującego prezesa jako anioła walczącego z demonami korupcji. Reasumując: Nie wiem jakie były rzeczywiste przyczyny rezygnacji Leszka Cichego z funkcji prezesa. Przypuszczam, że sprawił spory zawód swoim wyborcom. Wiem natomiast z pewnością, że opublikowany w GiA wywiad wyrządza Związkowi wielką krzywdę. Stoi to w jawnej sprzeczności z wyrażoną przez byłego prezesa deklaracją pracy dla dobra całego środowiska alpinistycznego.

W pewnym sensie musimy teraz zaczynać od początku. Nowo wybrany Zarząd ma naprawdę wiele do zrobienia. Wszyscy widzimy potrzebę wielu zmian. Wymaga to czasu, zrozumienia i zaangażowania całego środowiska.

Sławomir Ejsymont

członek Zarządu PZA, przewodniczący Komisji Unifikacyjnej (zaproponowany do Zarządu wspólnie przez Leszka Cichego i Wojciecha Świąćckiego).

Konferencja w Peszawarze

Śmieszne zakazy

W dniach 4-6 maja w Pakistanie odbyła się międzynarodowa konferencja poświęcona turystyce górskiej i alpinizmowi w tym kraju. Przedstawiciele 16 państw, zaproszeni przez Ministerstwo Kultury, Sportu, Turystyki i Spraw Młodzieży Pakistanu, obradowali w Peszawarze. Spotkanie w tym miejscu jest kontynuacją tradycji sięgającej tysięcy lat. Peszawar, położony w pobliżu Przełęczy Khyber prowadzącej na granicę z Afganistanem, leżał na skrzyżowaniu starożytnej drogi handlowej wiodącej z dzisiejszego Kabulu do Delhi oraz Jedwabnego Szlaku idącego z Chin. Od wieków istniał tu bazar mówców Quissa Khawani, na którym wędrownicy dzielili się swym doświadczeniem, gdzie zdobyć można było praktyczne informacje na temat dalekich krain, sposobów podróżowania, czyhających niebezpieczeństw, wysokości płaconego myta...

50% terytorium Pakistanu, dziewiczego w dużej mierze pod względem zagospodarowania turystycznego, pokrywają najwyższe pasma górskie ziem: Himalaje, Karakorum i Hindukusz. Na obszarze tym leży 5 szczytów ośmiotysięcznych, ponad 150 siedmiotysięcznych i 728 sześciotysięcznych. W północnej części kraju, pełnej jezior i rzek, można wspinać się i maszerować, spływać pontonami i kajakami, jeździć rowerami, jeepami i na nartach, a także XIX-wieczną kolejką zbudowaną przez Brytyjczyków, przebijającą się licznymi tunelami przez łańcuchy gór. Można też odbyć podróż w czasie docierając do dolin, będących do niedawna osobnymi księstwami, w których życie od wieków toczy się tym samym rytmem.

Pakistan to nie tylko góry. Współcześnie do kultur Egiptu i Mezopotamii, 5 tys. lat temu wzdłuż Indusu rozwijała się cywilizacja, której najlepiej znanym i zachowanym miastem jest Moedzodaro, dziś wpisane przez UNESCO na listę skarbów światowej kultury. Ślady swego panowania pozostawili tu Persowie, wojska Aleksandra Wielkiego i imperium Mogołów. Potężne forty, baśniowej urody meczety stoją tu obok świątyń sikhów i buddyjskich stup.

Dzisiejszy Pakistan nie umie sobie poradzić (a może nie dba o to) z fatalną opinią, jaka krąży na jego temat w międzynarodowych mediach. Konflikt z Indiami, nieustający wyścig zbrojeniowy biednego kraju, potyczki i ofiary w Kaszmirze, strzały na lodowcu Siachen, lęk przed wojującym islamem, zupełnie przesłaniają obraz kraju pełnego gościnnych i życzliwych wobec turystów mieszkańców, po którym biała kobieta, przestrzegająca pewnych reguł, może swobodnie podróżować.

Podczas konferencyjnych spotkań, rozpoczynających się recytacjami ze Świętej Księgi Koranu, swoje wrażenia, uwagi i postulaty składali himalaishi i przedstawiciele biur podróży, naukowcy zajmujący się ochroną środowiska, dziennikarze i przewodnicy, archeolodzy, hotelarze i restauratorzy, wreszcie niewiasty z Europy czy Japonii, które zamieszkały czasowo lub na stałe w Pakistanie. Goście z czterech kontynentów, zaproszeni przez ministra do podzielenia się konkretnymi uwagami, krytyką oraz propozycjami, mówili o nieznośnej biurokracji, dającej się we znaki już na etapie załatwiania wiz, o niewielkiej ilości biur pakistańskich linii lotniczych na Zachodzie, o braku turystycznej informacji, przedstawicielstw biur ubezpieczeniowych i kłopotach z akcjami ratunkowymi, o niewielkiej ilości przejść granicznych, nieuprzejmym traktowaniu przez służby graniczne i wojsko, o braku promocji Pakistanu za granicą, o śmiesznych zakazach fotografowania mostów i używania GPS, o konieczności zniesienia restrykcji na swobodne używanie telefonów satelitarnych, aparatów i kamer cyfrowych, wszelkich środków łączności.

Uczestnicy konferencji podzieleni na zespoły tematyczne opracowali wnioski z dyskusji. Oto kilka z nich:

– zdobywanie szczytów poniżej 6000 m oraz wszystkich na terenie Chitralu powinno być wolne od opłat, w zamian podwyższone mogą być opłaty za ośmiotysięczniki

– należy zakończyć lub przynajmniej uprościć nieznośne procedury odpraw (briefing) w ministers-

twie przed i po ekspedycjach oraz zlikwidować odprawę na policji

– jeżeli wyprawa optaciwszy pozwolenie na wspinanie, nie może dojść do skutku w danym roku, opłata nie powinna przepaść – jej część powinna być zwracana lub przejść na inny cel do realizacji w późniejszym terminie

– postulowano tworzenie parków narodowych

– apelowano o wydanie dokładnych map (wielkim powodzeniem cieszą się mapy Karakorum Jerzego Wali, wydane w Szwajcarii, powielane i przekazywane z rąk do rąk).

W składzie polskiej delegacji znaleźli się (zaproszeni imiennie): Andrzej Zawada, Monika Rogozińska („Rzeczpospolita” oraz The Explorers Club), Maria Szul (Radio BIS, Program IV), Iwona Taida Drozd (dziennikarka zamieszkała w Abu Zabi). Andrzej Zawada i Monika Rogozińska w czasie wystąpień ilustrowanych slajdami podzielili się doświadczeniami organizowania zimowych wypraw alpinistycznych oraz zimowej turystyki w Pakistanie, a także obsługi informacyjnej ekspedycji na Nanga Parbat 1997/98.

Udało mi się zdobyć zapis wystąpienia naszego delegata na pierwszej konferencji turystycznej, jaka odbyła się w Lahore w 1981 r. Dokument ów zaczyna się słowami: „Nazywam się Wanda Rutkiewicz. Przybywam z Polski...” Jednym z wymienionych w nim postulatów było wydanie pozwolenia na wspinanie się zimą, tak jak uczynił to dwa lata wcześniej rząd Nepalu. Innym, wciąż aktualnym, jest prośba o traktowanie na granicy ekwipunku wypraw jako osobistego wyposażenia, a nie towaru

o wartości handlowej. Pierwsza dama światowego himalaizmu, która zdobyła cztery z pięciu leżących na terenie Pakistanu ośmiotysięczników, pozostawiła po sobie bardzo żywe wspomnienia i, jak się okazało, wiele złamanych pakistańskich serc.

Po raz drugi nasz kraj był reprezentowany w 1987 r. na konferencji w Peszawarze. „Byłem wówczas jedynym delegatem z krajów komunistycznych – wspomina Andrzej Zawada. – Nie dyskutowaliśmy tak jak tym razem. Raczej zwiedzaliśmy okolice. Zawieziono nas do obozu uchodźców afgańskich, gdzie dostaliśmy na pamiątkę odznaczenia wojskowe zdobyte na oficerach radzieckich oraz duże naboje do karabinów maszynowych. Wszystkie te prezenty wyrzuciłem do kosza przed odlotem do Polski przez... Moskwę. Dla mnie tamta konferencja była bardzo ważna. Odwiedził nas niespodziewanie ówczesny prezydent Zia ul-Haq. Miałem okazję poprosić go o zgodę na zimową wyprawę na drugi szczyt ziemi K2. Po Afganistanie i Nepalu Pakistan stał się trzecim krajem posiadającym najwyższe góry świata, na których zimowy podbój mogli wyruszyć Polacy.”

Choć podczas obecnej konferencji słyszeliśmy głosy krytyczne („nic z tego gadania i tak nie wyniknie...”), prawdą jest, że po raz pierwszy przedstawiciele biznesu turystycznego (90% jest w prywatnych rękach) mogli zgłosić swe żale, uwagi i postulaty stronie rządowej, a spotkanie z ministrem kultury, sportu, turystyki i spraw młodzieży miało atmosferę gorącą od trudnych, rzeczowych pytań, które mimo pewnych oporów, zdaje się, że zostały uważnie wysłuchane.

Everest – sukces i tragedia

W dniu 18 maja 1999 r. na szczycie Everestu stanęli uczestnicy wyprawy Ryszarda Pawłowskiego: on sam oraz Tadeusz Kudelski i Jacek Masełko. Tym samym stał się Rysiek pierwszym Europejczykiem, który zdobył górę 3 razy (poprzednio w 1994 i 1995 r.). Wejście nastąpiło od strony północnej, z tlenem. Niestety, zejściu ze szczytu towarzyszyły dramatyczne okoliczności. Idący jako drugi (pomiędzy Masełką a Pawłowskim) Tadeusz Kudelski spadł z grani na wysokości około 8600 m (pomiędzy II a I uskokiem). Jak relacjonował Rysiek podczas konferencji prasowej zorganizowanej po jego przylocie 31 maja na warszawskim Okęciu, odpadnięcie nie było wynikiem wyczerpania, gdyż schodzący był w dobrej kondycji psychologicznej i używał tlenu. Musiał się więc zdarzyć moment braku koncentracji, przypadkowe potknię-

cie na długim nieoporeczowanym odcinku. Sam wypadek nie został dostrzeżony przez partnerów, jednak gdyby przyczyny były innej natury (np. nieplanowany biwak, jaki przydarzył się Pawłowskiemu) Kudelski nawiązałby łączność radiową. Ciemności zastały Ryśka około 100 m od początku poręczówek, jednak w związku z awarią czołówki zdecydował się na biwak, który wspomina jako najcięższy w swojej karierze. W nocy nastąpiło załamanie pogody, podczas którego umarł biwakujący niedaleko Belg.

Pytany przez dziennikarzy o dalsze plany Pawłowski wykluczał raczej kolejną próbę zimową na Nanga Parbat, jako wartościowszy cel wymieniając zimowe wejście na Makalu.

R. Kardaś

Arktyczna lekcja

Dom rodziny Illuaqa rozbrzmiewał tumultem wspinaczy, mężczyzn, inuickich dzieci i szceniąt husky. Podczas gdy Beverly pochylała się nad kociołkiem z mięsem polarnego misia, ja się przepychałem, by lepiej się przyjrzeć, rozpostartej u stóp Jushui, mapie wschodnich fiordów Ziemi Baffina. Wskazując ręcznie zwiniętym papierosem zwrócił moją uwagę na nieznaną fiord: „Ten tutaj ma na prawdę duże klify. Spodobalby się wam”. Ilaqrialuq, wuj Jushui i brat Joannesie uśmiechnęli się i skinęli z zadowoleniem. W ciągu paru minut, ledwo Jushua wspominał nowo odkryty rejon wspinaczkowy w Sam Ford Fiord, mapa pokryła się znaczkami.

Byliśmy na Ziemi Baffina od mniej niż godziny, a mnie już nigdy nie chciało się wracać do domu. Moi przyjaciele i ja często mieliśmy poczucie, że ominęły nas lata świetności wspinania, kiedy to pierwsze wejścia były wszystkim co istniało. Ale teraz wiedziałem, że się myliłem. Większość z 26 głównych fiordów wschodniego wybrzeża Ziemi Baffina zawiera formacje podobne do tych w Sam Ford Fiord; mnogość nie odkrytej skały w tym obszarze będzie dla wspinających się w ścianie bonanzą przez pokolenia.

Kiedy zaprzyjaźniliśmy się z naszymi gospodarzami po późnym obiedzie w ich domu, w maleńkiej osadzie Inuitów Clyde River, zdaliśmy sobie sprawę, że Inuici poza tym, iż doktoryzowali się w przetrwaniu, są jednymi z najbardziej otwartych i przyjaznych ludzi na świecie. Nie wahali się nagięwać z naszego braku doświadczenia, ale ich poczucie humoru było tak zaraźliwe, że śmieliśmy się bez przerwy. Mieliśmy również duży szacunek dla sprzężonej siły ich doświadczenia; nasi trzej przewodnicy z Qulliklut Outfitters (*Dostawcy z Qulliklut*) – Jushua, Joannesie i Ilaqrialuq dojrzewiali jako nomadowie wędrujący od fiordu do fiordu, podążający za karibiu, polarnymi niedźwiedziami, fokami, rybami i narwałami, które żywiły ich rodziny.

Moimi partnerami w tej przygodzie było dwóch ludzi, których prawie nie znałem. Po raz pierwszy

spotkałem Warrenna Hollingera wysiadującego w „Bum's Row” w schronisku w Yosemitech. Wysocki, z ogoloną głową i groźnie wyglądającą kozią bródką, sprawiał wrażenie ciągle zabawiającego surowych wspinaczy z kategorią Beta na drogach, które zrobił. Parę dni później znów się na niego natknąłem na urodzinowym przyjęciu 70-lecia Warrena Hardinga i tak świetnie bawiliśmy się pijąc razem, że postanowiliśmy zrobić ścianę. Skończyło się to odcierpieniem heroicznym 23 godzin na *Nosie*, pozabawieniem się wody na Great Roof przy 100 stopniach F. w ciągu dnia. Warren zrobił sześć dróg na El Cap wcześniej aż do początku tej podróży, wliczając w to *Lost in America*, *Space* i *Sea of Dreams*.

Z drugiej strony, Jerry Gore pochodził z Anglii i nawet nie wiedziałem jak wyglądał. Okazał się być niski, krępy, pełen dowcipów i opowieści. Choć nie zrobił wielu dużych ścian, Jerry każdego roku od 1977 był na większej wyprawie, w tym odbył kilka podróży w Himalaje. Był w zupełnie innej życiowej sytuacji niż Warren i ja; na trzy miesiące przed naszym wyjazdem jego żona urodziła ich pierwsze dziecko, Beth.

Dopiero kiedy zdjął koszulkę, przypomniałem sobie szczególną więź, która łączyła go z Warrenem. Obaj doznali ciężkich obrażeń od uderzenia pioruna poprzedniego lata na szczycie North Howser Spire w Bugaboos.

Od czasu Yosemiteów utrzymywałem kontakt z Warrenem, wiedząc o jego licznych planowanych misjach. Baffin był jego pomysłem i kiedy zadzwonił z Hawajów późną jesienią, zapraszając mnie do wyjazdu, totalnie się nakręciłem.

Nie mieliśmy tego obszaru wyłącznicie dla siebie. Tego samego dnia co my, 14 maja, przybyli Daniel Ascaso, Javier Ballester i Pepe Chaverri, wszyscy z Hiszpanii i oni również mieli zamiar wspiąć się na wielkich ścianach Sam Ford Fjord. Odetchnęliśmy z ulgą, że nasze cele nie stały w konflikcie. Hiszpanie przyjechali na Kiguti, o której opowiadało, że przypomina El Cap, i mieli nadzieję na

wspinanie w lodzie. Naszym celem była Polar Sun Spire.

Informacje o działalności wspinaczkowej na wschodnim wybrzeżu wyspy Baffina są szczątkowe. Na podstawie rozmów i lektur byliśmy przekonani, że tylko dwie lub trzy grupy kiedykolwiek wspiły się w Sam Ford Fjord, a nikt nie wspiął się gdzie indziej. Gdzieś około roku 1978 fiord badała angielska grupa, ale nie było jasności co wskórali. Jeden z Inuitów przebywający nad fiordem w tym czasie przypomniał sobie, że słyszał odgłosy dochodzące z formacji Nuvualik (znaną również jako the Turret – Wieżyczka). Inne źródło wspomina dwóch młodych Szwajcarów w tym rejonie około roku 1985. Jedyna konkretna informacja, którą mieliśmy, pochodziła z roku 1992, kiedy to Conrad Anker i Jon Turk dokonali dwóch zakończonych sukcesem piątkowych wejść w Sam Ford Fjord. Jak zorientowaliśmy się później, te ich wejścia nie były jedynymi.

Skoordynowanie w czasie naszego przyjazdu było najbardziej skomplikowanym elementem logistycznym. Tak jak Hiszpanie, optowaliśmy za wariantem zimowym; podejście i wspinaczka zanim na morzu puszcza lody. Kiedy całe wybrzeże i fiordy skute były dwumetrową warstwą lodu, mogliśmy poruszać się pojazdem śnieżnym, posługując się wielkimi saniami zwanymi *komotiks*, przeciągnąć nasze 800-funtowe zapasy jedzenia i sprzętu na 6 tygodni w głąb fiordu.

12-godzinna jazda z Clyde River do Sam Ford Fjord dała nam niezły przedsmak zimna, które miało nam towarzyszyć przez resztę wyprawy. Naszymi saniami kierował Iqaqialuq, którego pieśczołtliwie przezwaliśmy „Gramps”, bo nie mogliśmy wymówić jego imienia, i którego wytrzymałość podziwialiśmy przez wiele godzin. 55-letni Gramps jest starszym wspólnoty, legendarnym przez swe umiejętności w łowach i przetrwaniu. Podczas gdy pewnie kierował nami wzdłuż wybrzeża, my kontemplowaliśmy ogromną przestrzeń zamrożonego oceanu, sięgającego nieprzerwanie, z wyjątkiem kilku gór lodowych, aż do wybrzeży Grenlandii. Oślepiająca biel lodu i mgła przyprawiły o zawrót głowy, intensyfikując nasze poczucie odizolowania. Pogoda się załamała od czasu, kiedy przyjechalismy, przy temperaturze wahającej się między 0 i 20°C, byliśmy więc całkowicie zeszywniali i przemarznięci, gdy wreszcie wjechalismy w wewnętrzne sanktuarium Sam Ford Fjord około 6 rano, 16 maja.

Naszym pierwszym przystankiem była Kiguti, ledwie widoczna przez mgły i mgiełki. Hiszpanie ciagle byli napaleni, jednak trudno było ignorować



Warren Hollingen przygotowuje się do zjazdu na Great Cross Pilar.

tak srogo zimowe warunki. Ich obóz baza był oddalony więcej niż 2 mile od początku wspinania, ale był zdecydowanie najlepszym rozwiązaniem, jako jedno z nielicznych miejsc, gdzie w ogóle można rozbić namiot. Klify w Sam Ford Fjord zasadniczo wyrastają wprost z oceanu, biorąc pod uwagę, że fiord jest podobno na 2000 stóp głęboki, można się zastanawiać jak są one wielkie naprawdę.

Mając Hiszpanów osadzonych w ich nowym domu na „Windy Point”, podążaliśmy dalej w kierunku Walker Arm, pomocniczego fiordu, który się rozgałęzia na zachód i południe. Polar Sun Spire była ledwie odróżnialna poprzez niską pokrywę chmur. W ciągu krótkiego czasu byliśmy świadkami kilku lawin obrywających się na jej południowym zboczu. Mogliśmy się teraz przekonać, że Iglica ma prawie całkowicie północną ekspozycję, a ściana ze swoimi miniaturowymi śnieżnymi polami i czarnymi wodnymi ciekami wyglądała bardziej jak Eiger niż El Cap, którego się spodziewałem.

Kiedy siedzieliśmy na saniach u stóp Polar Sun Spire w wejścia do Walker Arm, rozważając nasze

możliwości, mgła, która dokuczala nam od początku naszego przyjazdu, zaczęła się unosić. W pół godziny niebo zrobiło się kobaltowo niebieskie i odbiło nam zupełnie: we wszystkich kierunkach potężne granitowe klify wyrastały wprost z oceanu, w większości wyglądając nadzwyczaj stromo. Warren i Jerry tańczyli wokół pojazdu jak zaćpani hippisi śpiewający o ziemi obiecanej.

Na wprost po drugiej stronie fiordu Great Cross Pilar wyprętał 2700 stóp południowej ściany i widok ten skłonił nas do uznania Polar Sun za nie do zrobienia. Gramps zabrał nas na jednych sianach do naszej bazy pod Great Cross Pilar, a Jushua i Joannesie poszli polować. Obaj zabili fokę, zostawiając czerwoną plamę na lodzie zaledwie kilka stóp od naszego namiotu. Jerry wygłosił nasze obawy, że krew może przyciągnąć drapieżniki, ale Innuici jak zwykle, tylko śmiali się z nas.

Great Cross Pilar nazywa się tak dla wyraźnego krzyża, który można zobaczyć na zachód od głównego filaru. Utworzony przez czarne wodne nacieki krzyż nie był dla nas oczywisty, aż nie pokazał go nam Gramps. Pomimo wielkich rozmiarów klifu, znaleźliśmy bardzo mało systemów rys, co jest typowe dla większości skał w tym rejonie. Rysy, które mogliśmy dostrzec, wyglądały na luźne i kruche i wydawało się, że najlepsza droga wiodła w prostej linii w górę dziobem głównego filaru.

Dwa dni zajęło nam poręczowanie pierwszych 700 stóp do początku dużej półki, która trawersuje klif na długości prawie mili. Po drugim dniu poręczowania Jerry i ja zjechaliśmy na dół do obozu po 24-godzinnej zmianie. Zastaliśmy Warrena, który miał wolny dzień na zorganizowanie się, śpiewającego do rozdęcia płuc i niewiele trzeba było, by zorientować się, że nurkował w naszych tajnych zapasach. Niestety, party wkrótce znalazło swój nagły koniec, kiedy walkman Warrena przestał działać. Wyłączył jednostkę z użycia na stałe przy pomocy 25-funtowej skały.

Baza była niemal zbyt luksusowa i opieszale wygramoliliśmy się 23 maja targając trzy transportowe wory i bęben wyprawowy jedną ósmą mili pod klif. Byliśmy wyposażeni na 10 dni, które mogłyby się przeciągnąć do dwóch tygodni.

Cały dzień rzeźenia przy ładowaniu i repowaniu wyniosł nas do naszego pierwszego obozu na wielkiej półce, gdzie pograżyliśmy się w żarcie i podziwianiu scenerii. Polar Sun Spire dominowała w naszej perspektywie, ale mogliśmy również wyraźnie dostrzec Second Turret i Broad Peak w tle.

Ten drugi, wysokości 6500 stóp, jest najwyższym szczytem w rejonie i ciągle jest prawdopodobnie nie zdobyty; jego wschodnia strona wznosi się wprost z oceanu w proporcjach himalajskich uwidaczniając dwie oddzielne ściany rozdzielone wiszącymi galeriami i polami śnieżnymi. Górna ściana czołowa to wybitny przewieszony dziób wysokości co najmniej 1500 stóp. Łód na fiordzie poniżej był jednolity i w doskonałym stanie z wyjątkiem małej góry lodowej koło Walker Citadel i plamy krwi koło naszego obozu. W górze klif przewieszał się nad naszymi głowami bardziej niż pionowo przez 1500 stóp z 2000, które jeszcze zostało nam do wspinania.

Naszym najbardziej palącym problemem była duża cofnięta nyża. Przejście przez nią wyglądało na bardzo trudną hakówkę i ryzyko upadku na półkę wydawało się nierozważne. W zamian znaleźliśmy system rys na jej lewej krawędzi, który prowadził do długiego, wypychającego kominu. To był mój dzień prowadzenia i pierwszy wyciąg nagroził mnie solidną skalną i klasyczną wspinaczką; ze szczelinami na ręce i palce do rozpieraczki w stylu Yosemite'ów. Z kominem jednak była inna historia. Wypychające ścianki były pokryte frytkami i musiałem wpychać się całym ściśniętym ciałem, by przejść wyładowany żwirem i martwymi blokami żleb, który czekał na mnie w dwóch trzecich wysokości.

Na koniec każdego dnia wspinania, a zdarzało się to prawie co dzień, skupialiśmy się wokół kuchenki, pijąc gorącą czekoladę z flaszki, którą nazwaliśmy Pepe, przeżywając jeszcze raz poważniejsze szczegóły każdego wyciągu, wymieniając się opowieściami, wściekając się na siebie. Zauważyliśmy jakiś ruch na lodzie tego dnia i zastanawialiśmy się, co to mogło być. Warren i ja myśleliśmy, że to wilki, ale nie, Jerry miał na to wszystko swoje wyjaśnienie „To są arktyczne kondory,” powiedział „Mają skrzydła o rozpiętości 15 stóp i latają zaledwie kilka stóp nad lodem.” Śmiech, jaki z tego mieliśmy, trwał przez resztę podróży.

Następnego dnia obudziliśmy się przy silnym wietrze i rozbudowującym się froncie burzowym. Brzydko wyglądające czarne i granatowe soczewki utrzymywały się nienaturalnie wysoko.

Była moja kolej na odpoczynek i rozkoszowałem się szansą pospania trochę dłużej w podwójnym porta-ledge. Podczas gdy Jerry i Warren zaczęli mocować nasze luźno zwisające liny poręczowe, ja ułożyłem się przy kuchence rozmyślając o pogodzie i wyciągu Warrena. Po niecałej godzinie

jego 10-godzinnego prowadzenia byłem zmuszony szukać z powrotem schronienia w porta-ledge'u. Jerry wymachiwał ramionami i nogami śpiewając wulgarnie piosenki brytyjskiej armii.

Warren zajęty był innymi sprawami. Ze stanowiska dowahał się do wyjścia z bocznego skyhooka (1). Potrzebował dwóch rivetów (2) i jeszcze kilku skyhooków, by przejść 30 stóp gładkiej skały i zacząć z płytkiego, ślepego zacięcia. Przez następne sześć godzin Warren używał małych copperheadów (3) i skyhooków, by wspiąć się 75 stóp bez wiercenia. Kiedy przechodził przez mały okap nad zacięciem, „jedyńka” /Birdbeak/ (4), na której wisi, przesunęła się groźnie. „Bomba zegarowa” – krzyknął, i kolejną rzeczą, o której wiem, było to, że wypiął się ze swych sztucznych ułatwień, by przejść klasycznie. Jeżdżąc podwójnymi butami po pionowym granicie wygramolił się na małą półkę. Jego ostatnim przywoitym przelotem był nit na wysokości stanowiska i wtedy okazało się, że na drodze jego lotu, jakieś 40 stop niżej, wystaje groźnie wyglądająca płytka. Wisząc na jednym ramieniu, Warren wyrwał luźną pętlę skalną i utworzył stopień, wypychając się jednym poślądkiem na półeczkę.

To po tym dniu, po owej 10-godzinnej jeździe w swej uprzęży na stanowisku, Jerry zdecydował się na zejście. Złożyła się na to szereg czynników i była to trudna decyzja dla każdego. Na poziomie najbardziej prozaicznym zaczynaliśmy się niepokoić o zapasy. Zjedliśmy już 1/4 naszej 10-dniowej racji, a oczywistym było, że mamy przed sobą więcej niż tydzień. Co ważniejsze, Jerry nie radził sobie najlepiej z psychiką. Co prawda, był na wielu wyprawach przedtem, jednak po raz pierwszy zostawił w domu żonę z nowo narodzonym dzieckiem. Jego oddanie dla nich przepełniało go teraz i nie mógł sobie poradzić z koncentracją na nadchodzących trudnościach. Daliśmy mu jeden wór transportowy wypełniony porta-ledge'em i całym jego osobistym sprzętem, związaliśmy cztery liny razem i pojechaliśmy w dół. Mieliśmy go nie zobaczyć przez 8 dni.

Tego samego dnia zrobiliśmy jeszcze jeden wyciąg do początku „Circle”, najbardziej oczywistego wariantu naszej drogi; pięknego, wypiętrzającego się na 300 stóp systemu zacięć. Nasz następny obóz miał być u jego podstawy.

Asekuracja okazała się największym demoralizatorem we wspinaczce, a życie w porta-ledge'u było luksusem, który pozwalał przetrwać długie dni na stanowisku asekuracyjnym. Wspinając się *capsule style** zazwyczaj mieliśmy pod koniec każdego dnia wspinaczki kompletnie rozstawiony obóz. Wi-

sząc kuchenka dawała miły efekt uboczny zmieniając namiot naszego porta-ledge'u w saunę. Niestety, sauna dawała również łatwy do przewidzenia uboczny efekt. Para z naszych gorących napojów i obiadów z makaronu pokryła wnętrze płachty kondensacją. Gdy tylko kuchenka była wyłączona, uporczywy wiatr zmieniał wnętrze porta-ledge'u w bożonarodzeniową scenę. Wiatr uderzał z prędkością do 50 mil na godzinę, co powodowało łopotanie i wstrząsy porta-ledge'u tak silne, że spanie praktycznie było niemożliwe. Szczęśliwie, 24-godzinne światło dzienne pozwoliło nam odłożyć nasze zegarki i kalendarze, wspinaliśmy się więc zasadniczo wtedy, kiedy czuliśmy, że mamy na to ochotę. Większość dni była zachmurzona, nie przepuściliśmy więc żadnego słońca, wspinając się w nocy.

Przez następne kilka dni pracownicy haczyliśmy naszą drogę w labiryncie przewieszonych, ledwo zarysowujących się szczelin. Skała różniła się tak diametralnie, że czasami szczeliny obramowane były zupełnie odmiennymi skałami; z jednej strony strzelający, twardy, krystaliczny gnejs, a z drugiej stos zaklinowanych płytek i przegniły jak pumeks rzech. Mój wybór młotka alpejskiego i kłucza do kostek okazał się bezużyteczny przy wybijaniu przelotów. Oczy piekące od skalnego pyłu stały się problemem, często więc prowadziliśmy w goglach.

31 maja prowadziłem najtrudniejszy wyciąg w swoim życiu, trwający dziewięć godzin mozoł, z dużą ilością skyhooków i copperheadów. Na jego końcu założyłem stanowisko z trzech „stuprocentowych” nitów, by służyło nam jako trzeci i ostatni obóz. Po zaporęcowaniu splittersami z najfów i birdbeaków jeszcze dwóch długich wyciągów w górę cudownie przewieszony rysy, wyzwoliliśmy się z pańszczyzny podczepiania i wyciągania, oddając się osiągnięciu szczytu. Dwa dalsze wyciągi prowadziły do nieprawdopodobnej alkowy, której okap niespodziewanie puścił stuprocentowymi przelotami A1. Kilka poszarpanych wyciągów 5.9 pozostawiło tylko milę trójkowej i czwórkowej drogi pomiędzy nami a prawdziwym szczytem.

Zbudowaliśmy kopczyk, pstryknęliśmy zdjęcie i zjechaliśmy w białą czeluść, docierając do naszego wiszącego obozu po 26 godzinach. Był to nasz jedenasty dzień w ścianie i tęskniliśmy za naszą bazą zastanawiając się czy z Jerrym wszystko w porządku.

Z powodu tego, że nasza droga była przewieszona i trawersowała, mieliśmy zostawione pętle przytwierdzone na pewnych stanowiskach do zamocowanych przyrządów. Plan był taki, by dowahi-

wać się i wpinąć w zamocowany sprzęt przerzucając fikę przez tę pętlę.

Zjechaliśmy do naszego przygotowanego obozu i odpoczywaliśmy przez 18 godzin, co mogło być być miłe, gdyby nie wodospad za rogiem, który bez przerwy nas zalewał. Podczas pierwszego zjazdu następnego dnia Warren spędził dwie godziny usiłując dowahać się do umocowanego birdbeaka. Głośno wyraziłem swoją opinię, że powinniśmy odpuścić i znaleźć nową drogę na dół. Warren w końcu wypalił. „Czemu, do diabła, nie możesz mnie po prostu w tym wesprzeć”, zawodził bijąc głową w klif. Wreszcie się poddał, zjechał do końca liny i dowahał do haka, z którego wywiercił nowe stanowisko zjazdowe.

Chociaż widać było, że Warren był naprawdę na mnie wkurzony, jednak dopiero gdy stanęliśmy bezpiecznie na większej półce, dał mi to wprost do zrozumienia. „Nienawidzę cię”, powiedział z absolutną szczerością, a ja rzeczywiście uwierzyłem, że nasza przyjaźń uległa trwałemu zerwaniu.

Obaj byliśmy niezłe podminowani, ale po jakiejś godzinie wiedzieliśmy, że musimy się pogodzić. W przeszłości, z innymi partnerami Warren był zawsze liderem, tym, który kontroluje sytuację i bycie ze mną, ustawicznie przeciwstawiając się jego zdaniu, było dla niego mocnym obciążeniem. Do czasu gdy dotarliśmy do obozu i połączyliśmy się z Jerrym, mieliśmy więcej niż 24 godziny zjazdu za sobą i cała rzecz się rozwiła.

Jerry nie bawił się najlepiej, kiedy nas nie było. Stres przejmowania się swoją rodziną przywiódł go do krawędzi nerwowego szału i wkrótce już słyszał polarne niedźwiedzie węszące poza namiotem. Podczas jednego, szczególnie złego okresu niepogody, namiot zwiato i nie mógł sobie poradzić z jego rekonstrukcją. W desperacji Jerry wezwał dostawców przez radio i ustalił, by go zabrano. Dzień później był z powrotem u Illuaq'ów w Clyde River. Po miłej rozmowie ze swoją żoną i jedzeniu przygotowanym w domu, wrócił do fiordu z psychiką ponownie nastawioną, by się przymierzyć do Polar Sun Spire.

Kiedyśmy się przebrali i podjedli w obozie, Warrenowi niewiele trzeba było, by znaleźć butelkę i przypiąć się do niej na niezły tyk. Rozmawialiśmy o tej butelce przez długi czas i Warren był bardzo rozczarowany, że nie przyłączyłem się do niego na więcej niż kilka toastów za naszą nową drogę. W rewanżu postanowił torturować mnie, nie zgadzając się bym zasnął. Kiedy tylko zaczynałem czuć się wygodnie, ścigał mój śpiwór, śliniąc się i mamrocząc mi coś w twarz. Nie ma nic gorszego

niż być uwięzionym w małym namiocie pośrodku nicości z pijanym głupkiem.

Ciągle jeszcze rozkoszując się naszym ciężko zdobytym odpoczynkiem w bazie, następnego dnia usłyszeliśmy głosy i wkrótce już wymienialiśmy się opowieściami z hiszpańską trójką, która przeszła 3 mile ze swojego obozu w Windy Point, by nas zobaczyć. Im również udało się dokonać trudnego liczącego 3000 stóp wejścia na „Nos” Kiguti. Ich droga „Nirvana” (VI 5.10 A3) zabrała im tylko 7 dni, ale było im bardzo zimno w ścianie i byli rozczarowani brakiem klasycznego wspinania oraz obfitości kruchej skały. Jednak planowali jeszcze przymierzyć się do „Płetwy” (the Fin), liczącego 2000 stóp wywieszzonego dziobu tworzącego przedłużenie „Chinese Wall” wprost na północ od Kiguti.

Warren leczył ciężkiego kaca przez cały dzień i, w dodatku, okazało się, że się przeziębził. Odpoczywał, kiedy Jerry i ja zaczęliśmy zakładać poręczówki na Polar Sun Spire.

Brnąc przez wodę, która teraz już pokrywała lód, Jerry i ja przejmowaliśmy się powagą naszej sytuacji. Hiszpanie natknęli się na ślady niedźwiedzi polarnych nie dalej niż trzy mile, a my bez broni byłibyśmy martwym mięsem w razie spotkania. Niedźwiedzie polarne są jednymi z nielicznych zwierząt, które rutynowo atakują ludzi. Dorosłe męskie osobniki mogą mierzyć 15 stóp, ważyć 1000 funtów, biec z szybkością 30 mil na godzinę i odgryźć głowę w 0,2 sekundy. Znane były nawet przypadki ich polowań na orki.

W ciągu jednego długiego dnia Jerry i ja zaporęczowaliśmy 700 z około 4000 stóp tej północnej ściany. Była to z pewnością największa kupa rzeźchu, jaką każdy z nas kiedykolwiek widział – mokra, krucha, bezustannie bombardowana spadającymi skałami. Po jednym, szczególnie bliskim trafieniu, porzuciliśmy nasze starania, zostawiając zaporęczowane liny do czasu przedyskutowania sytuacji z Warrenem.

Następnego dnia pojawili się Innuici z dwoma nowymi rekrutami, Paulem Gangerem i Rickiem Lovelace'em. Porozmawialiśmy z nimi krótko, byli w drodze od dłuższego czasu i śpieszno im było rozłożyć bazę pod Walker Citadel. Planowali przejść po lodzie; zachęcająca perspektywa, jako że załamanie mogło się zacząć w każdej chwili. Załamało się w istocie, podczas gdy byli na Walker Citadel i kończyli, nieomal głodując, odciążeni, póki nie trafila się grupa innuickich myśliwych.

Po ich osadzeniu Jushua i Joannesie wrócili, by pomóc nam w przeprowadzce obozu przez fiord.

Porzucając nasze nadzieje na Polar Sun Spire, zdecydowaliśmy się przymierzyć do drogi na liczą-



Na drugim biwaku.

cej 2000 stóp zachodniej ścianie Second Turret, ale zła pogoda trzymała nas zamkniętych w namiocie przez następne trzy dni. Znudzeni do granic, wzięliśmy nasze ciężary na plecy i udaliśmy się w górę lodowca na trzymilowy spacer do bazy. Mieliśmy szczęście i 15-minutowe przejaśnienie pozwoliło nam odnaleźć linę. Warren i Jerry od razu wzięli się do roboty na pierwszym wyciągu, zostawiając mnie bym sobie radził z ustawieniem obozu.

20 czerwca obudziliśmy się przy pierwszym czystym niebie od dwóch tygodni. Z worem pełnym szejpu i plecakiem dodatkowych ciuchów, jedzenia i wody wystrzeliliśmy w górę po naszych pięciu poręczówkach z zamiarem osiągnięcia szczytu. Dwa hakowe wyciągi wyniosły nas do podstawy długiego systemu kominów, które, jak się okazało, dawały dostęp do szczytowej grani. Miejsce kluczowe nazwaliśmy „the Tunnel of Hoar” (Szronowy Tunel), była to ciasna, zalodzona dziura. Obszedłem duży zaklinowany kamień i przyjmując przedziwne, nieprzyjemne pozycje wgramoliłem się do pokrytej lodową polewą szyjki od butelki. Po pięciu dalszych brudnych, mokrych i zalodzonych wycią-

gach osiągnęliśmy grań szczytową z pięknym widokiem na formację Tugalik, potężną pofałdowaną ścianę oferującą szereg możliwości wspinania o długościach dochodzących do 4000 stóp.

Po kilku łatwych wyciągach i około 28 godzinach wspinania bez przerwy, wykonywałem ostatnie klasyczne ruchy u szczytu. Wypchnąwszy się na małą półkę, „odjechałem”, znajdując tam staro wyglądający 3/8-calowy nit z ciężką stalową plakietką. Turret z całą oczywistością nie była zdobytą po raz pierwszy (chociaż nasza droga zachodnią ścianą była zdecydowanie nowa) i wdrapywaliśmy się na szczyt nieco rozczarowani, lecz jeszcze bardziej zaciekawieni. Kto wspiął się na tę górę przed nami?

Warren i Jerry zasnęli na szczycie momentalnie, a i mnie kuśiło zrobić to samo. Nie bardzo mieli ochotę, żeby się ruszyć, dopóki nie wspomnieliem o możliwości przebudzenia przez burzę z wyładowaniami elektrycznymi. Dotknąłem czułego punktu i w ciągu kilku minut zorganizowali się do liczącego 2000 stóp zjazdu. Zanim wreszcie dotarliśmy do punktu wyjściowego drogi, mieliśmy za sobą 40 godzin bez snu i Warren ustawicznie zasypiał w swojej uprzęży.

Po jednym dniu odpoczynku mieliśmy wrócić do obozu, aby Innuici mogli nas zabrać następnego dnia. Padało i nasze toboły były niemiłosiernie ciężkie, lecz bardzo byliśmy zdopingowani aby zostawić wspinaczkę już całkowicie za sobą.

Kiedy Gramps i John pojawili się następnego dnia, szybko zwinęliśmy obóz i zapakowaliśmy komotik na podróż powrotną. Przybывая do Windy Point zastaliśmy Hiszpanów niezupełnie szczęśliwych. Ich próba wejścia na Fina została odparta po pięciu wyciągach przez kruchą skałę i złą pogodę. W wyniku tego spędzili ostatnie trzy tygodnie w namiocie. Nie wyrażali ochoty na powrót do tego miejsca i bardzo byli zdziwieni, kiedy wspomnieliśmy o naszych planach na przyszły rok.

Wyjazd przeobraził się w najbardziej partyzancki epizod z całej podróży. Załamywanie się lodu na morzu było teraz w swych początkowych stadiach i powierzchnia pokryła się zagłębieniami pełnymi wody oraz topniejącego lodu o głębokościach dochodzących do jednego metra. W dodatku liczne szczeliny rozbiegły się na całej długości fiordu. Zbliżając się do szczeliny, Joannesie prowadził nas ostrożnie wzdłuż jej krawędzi, wylapując pływające bryły lodu, których mogliśmy użyć do formowania mostu. Ściągając kilka z nich razem przy pomocy zakończonych hakiem tyczki, Joannesie tworzył mało wiarygodne przejście. Odczepiwszy sanie od pojazdu, pchaliśmy je w kierunku krawędzi tak szybko jak tylko mogliśmy, by wskoczyć na nie w ostatniej

chwili przed 8-metrową wyrwą. Potem Joannesie po prostu odpalał pojazd i przelatywał na drugą stronę.

Wkrótce potem lód zamienił się w trzęsawisko roztopów i sanie nie dawały się ruszyć. Po kolana w lodowatej wodzie próbowaliśmy je pchać z widocznością ograniczoną do paru stóp. Pogoda siadła, przechodząc w marznącą i zacinającą mżawkę. Nie było zadowolonych. Zapytałem Joannesie, który był zanurzony w topniejącym lodzie i usiłował umocować przyczepę do pojazdu, czy umrzemy. Spojrzał tylko na nas i zaśmiał się. „Może tak, może nie. Nie wiem.” Nasz odlot był za trzydzieści godzin. Joannesie zapowiedział już, że się nie wyrobimy. I wtedy właśnie grupa inuickich myśliwych wyłoniła się z szarości. W ciągu paru sekund przeszliśmy od poważnego rozważania naszych szans na przeżycie do żartów z Inuitami na temat pogody. Byliśmy zadziwieni widokiem młodych chłopców ubranych tylko w nylonowe wiatrówki, basebolówki i bez rękawiczek. Cała powrotna podróż trwała dłużej niż 36 godzin, z których większość spędziliśmy przepychając się przez głębokie zbiorniki roztopów. Przybyliśmy do Clyde Rver na dwie godziny przed powrotnym lotem do Montrealu.

Kiedy wychodziliśmy z samolotu w Montrealu, byliśmy na nogach już od prawie trzech dni i trudno było uwierzyć, że mniej niż 12 godzin wcześniej patrzyliśmy na ślady polarnego misia obok krawędzi sań. Warren i ja zostawiliśmy niezły ładunek sprzętu u Illuaqów; powrót był tylko kwestią czasu.

Mark Synnott pracuje jako cieśla w Fort Collins, Colorado, pomiędzy podróżami wspinaczkowymi. W tej podróży był wspomagany przez American Alpine Club – Wysokogórskie Stowarzyszenie Młodych Wspinaczy.

Warren Holinger – znany kanadyjski wspinacz, uległ poważnemu urazowi kręgosłupa w trakcie wspinaczki na Rainbow Wall w Red Rocks koło Las Vegas. Spadł około 15 metrów na szóstym wyciągu swojej nowej hakówki A4

z „Climbing” nr 158/1996
Tłumaczył Marek Głogowiec
Konsultacja: Jan Muskat

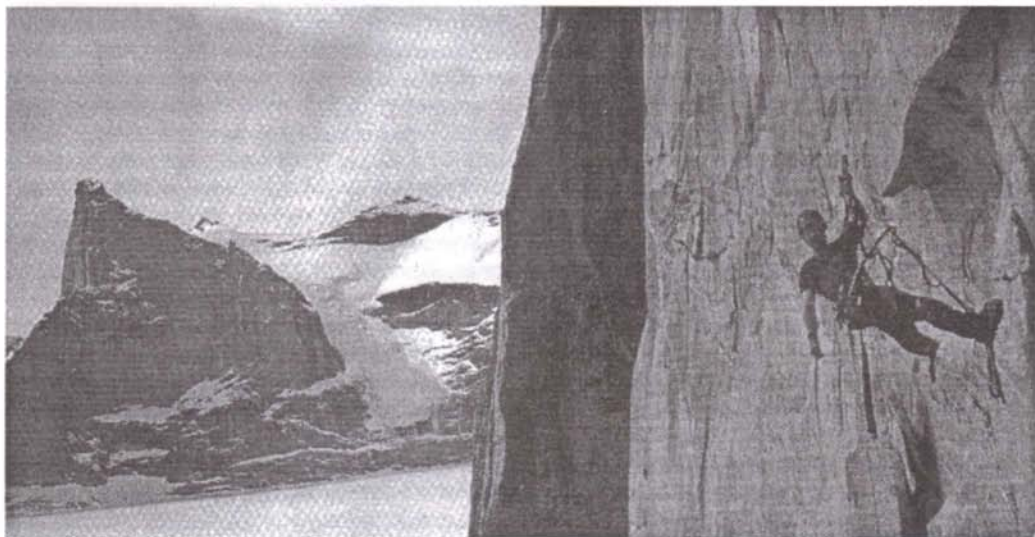
(*) capsule style – rodzaj wpinania polegający na tym, że po wejściu w ścianę nie zjeżdża się już na ziemię aż do osiągnięcia końca drogi.

(1) skyhook – hak specjalny, nie wbijany, lecz zwykle zaczepiany o drobny występ skalny lub zagłębienie w skale.

(2) rivet – rodzaj nitu stosowany wyłącznie jako sztuczne ułatwienie.

(3) copperhead – drobna, walcowata, miedziana kostka na pojedynczej stalówce występująca w trzech rozmiarach, stosowana jako sztuczne ułatwienie pierwotnie przez Billa Forresta.

(4) birdbeak – rodzaj „skajhuka”, zmodyfikowany przez Jima Bridwella, „kraknap” Chouinarda, stosowany jako „rarp” z haczykiem zamiast trzonu.



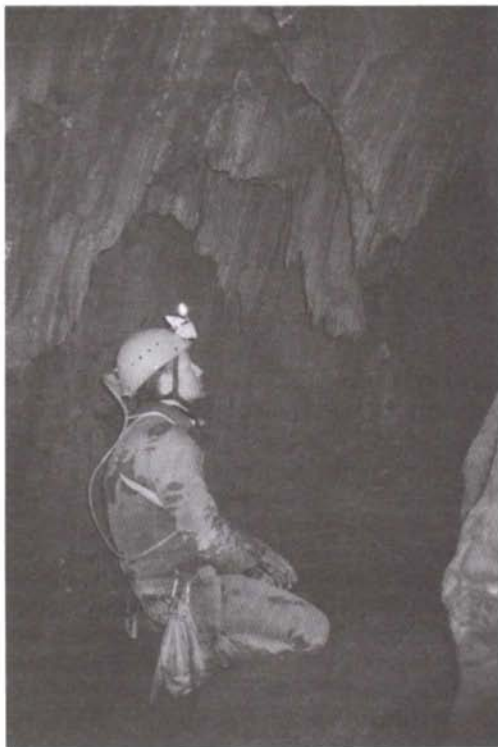
Na Great Cross Pilar.

Zimą w Feichtnerschachthöhle

Wczesny poranek. Przez uchylone okno wnika świeże, górskie, zimowe powietrze. Bezchmurne, słoneczne niebo rozprasza resztkę snu. Rozglądam się. Pozostali uczestnicy wyprawy wtuleni są jeszcze głęboko w swoje śpiwory. Ukradkiem wyrykam się z pokoju. Zabieram narty i wychodzę. Oślepia mnie poranne słońce odbijające się ze wszystkich stron od śniegu. Cisza i spokój. Powoli podchodzę. Wyglądać muszę dość śmiesznie. Wokół mnie dziesiątki wyciągów narciarskich, a ja idę pod górę. Jestem sama. To niesamowite w tym miejscu. Za kilka godzin będzie tu tłoczno jak na Krupówkach w szczycie sezonu. Ale teraz nie ma nikogo. Góry przez kilkanaście godzin dziennie należą do nas, do członków wyprawy. Wszyscy inni: turyści i pracownicy stacji narciarskiej (w której mamy swój pokój) wieczorem zjeżdżają w dół kolejką. Nic więc dziwnego, że po paru dniach czujemy się jak u siebie.

Masyw Kitzsteinhornu. Dla większości Polaków oznacza tylko wspaniałe centrum narciarskie. W Kaprun, u podnóża gór, parkują tysiące samochodów z polską rejestracją. Dla nas narty są dodatkitem, przyjemnym relaksem po działalności jaskiniowej.

Przyjechaliśmy eksplorować jaskinię Feichtnerschachthöhle. Dziesięcioosobowa wyprawa miała na celu kontynuację działalności rozpoczętej rok wcześniej. Wtedy dotarliśmy do jeziora końcowego na głębokości -623 m. Parę metrów wyżej odchodził ciasny korytarzyk zasypyany piaskiem. Miał on być tegorocznym głównym celem ataku. Wyobrażaliśmy sobie, że będzie to podobny problem, jak rozkopany przez Richarda Feichtnera korytarz Schlüssel zur Unterwelt (Klucz do podziemi), znajdujący się na głębokości 350 m. Po pierwszej akcji poręczowania ruszyła sprężona czwórka, aby jak najszybciej rozpocząć kopanie w piasku. Jakież było ich zdziwienie, gdy po dotarciu do celu stwierdzili, iż poziom wody w jezioru jest wyższy o około 3,5 m od zeszlórocznego. W konsekwencji nasz wymarzony korytarz, o którym rozmyślaliśmy przez cały rok, znalazł się w całości pod wodą. Specyficzny charakter jaskini rozwiniętej zgodnie z upadem warstw i na licznych szczelinach tektonicznych sprawia, że jest ona uboga w ciągi boczne. Obawialiśmy się więc trudności w znalezieniu innych, poza głównym, ciągów. I rzeczywiście, nasze obawy były uzasadnione. Niepowodzeniem zakończyły



się wspinaczki do kilku okien wypatrzonych na głębokości 300-400 m. Okazały się być tylko ryżami. Interesująco natomiast rozpoczęła się eksploracja na głębokości 400 m w Zyklopengangu. Udało się wejść pod zawalisko, a następnie do nowego ciągu pionowego rozpoczynającego się bardzo ładnie mytą 32-metrową studnią. Za nią rozwijał się ciąg kaskad z niewielkim przepływem wody w spągu. Podniecenie eksploratorów osiągnęło zenit, gdy dotarli do okna wypadającego w dużej studni. Niestety, okazało się, że jest to znana z ciągu głównego GBK Schacht. Tak więc tym nowym, młodszym piętnem jaskini dotarliśmy do starego problemu.

Wyprawa trwająca tylko dziesięć dni dobiegła końca. Zmuszeni byliśmy przerwać poszukiwania ciągów prowadzących w głąb masywu. Niewątpliwie z przyjemnością i wiarą w sukces wrócimy do niej za rok.

W wyprawie do jaskini Feichtnerschachthöhle w Wysokich Taurach trwającej od 8 do 18 marca 1999 r. wzięli udział: Andrzej Ciszewski – kierownik, Marcin Czart, Agnieszka Gajewska, Marcin Gala, Jan Kućmierz, Henryk Nowacki, Jakub Nowak, Krzysztof Recielski, Stanisław Wasyluk i Ewa Wójcik.

Zastosowanie liny w skale i lodzie

W niniejszej recenzji chcę szerzej omówić nowy opracowany w 1998 roku podręcznik Pita Schuberta, znanego specjalisty w zakresie bezpieczeństwa we wspinaczce.

Książeczka o wymiarach 12x15x0,8 cm na 189 stronach, mająca 160 rysunków, zawiera cały podstawowy zasób wiedzy na temat wspinania się z liną w skale, lodzie i śniegu. Małe wymiary, zwarty, doskonale skondensowany z niemiecką precyzją tekst, bardzo dobre rysunki Seppa Lassmanna i Georga Sojera oraz fotografie sprawiają, że może doskonale służyć każdemu nie tylko w domu, ale i w czasie wspinaczki. Szczególnie godna polecenia jest wszystkim początkującym. Podoba mi się także, że autor unika określeń obcojęzycznych.

Oczywiście ten podręcznik nie wyczerpuje wszystkich problemów związanych z zastosowaniem liny i działalnością w terenie wspinaczkowym, a zwłaszcza wysokogórskim. Nie ma też takiego przeznaczenia. Autor i rysownicy nie uniknęli również pewnych błędów np. przy opisie i na rysunkach pokazujących zakładanie zakotwienia z ucha lodowego, wymyślonego przez Witalego Abalakowa – (Sanduren im Eis) na str. 171.

Zastosowanie liny jako środka do asekuracji w skale i lodzie jest tu jasno przedstawione i interesujące omówione, poczynając od technicznego wyposażenia, przez jego użycie aż do wykorzystania w koleżeńskim ratownictwie. Wszystko, co nie wiąże się z zastosowaniem liny, zostało pominięte – odzież, obuwie, wiedza dotycząca pogody, trudności w skale i lodzie, zagrożenia, biwakowanie, orientacja w terenie itp. Tego trzeba szukać gdzie indziej.

Treść podręcznika jest bardzo skondensowana i podzielona na krótkie rozdziały, często ograniczone do definicji. Podręcznik zaczyna się od określenia zespołu wspinaczkowego. Partner w zespole powinien być mniej więcej równie sprawny, aby nie było różnic w prowadzeniu. W przypadku poważnej sytuacji i zagrożenia, każdy z zespołu może przejąć prowadzenie. Pit Schubert porządkuje też wielkość zespołów.

W skale za idealny podaje dwuosobowy, a na długich i trudnych drogach powinny wspinąć się dwa dwuosobowe zespoły, aby móc udzielić sobie pomocy w trudnych sytuacjach. Trzyosobowe zespoły zakłada dla grup z przewodnikiem lub dla grup,



Okładka omawianego podręcznika wydanego w nowej przepisanej wersji w 1998 roku.

gdzie pierwszy idzie na dwu linach, a drugi i trzeci wspinają się równocześnie, każdy na osobnej, pojedynczej linie. Liczniejsze zespoły związane razem są zbyt powolne, wobec tego nie zalecane.

W lodzie dla trudnego, stromego terenu autor zaleca zespoły dwuosobowe. W stokach i graniach idealny jest zespół trzyosobowy, a na lodowcach czterosobowy, który następnie przy wejściu w ścianę dzieli się na dwa dwuosobowe zespoły. Innymi słowy: **W lodzie musi być rozróżnienie między wędrowaniem po lodowcu a wspinaniem się w ścianie i na grani.**

W następnej kolejności omówione są liny górskie, które muszą odpowiadać wymaganiom EN (EURO Normy) i normom UIAA. Liny zgodnie z nimi dzielą się na pojedyncze (Einfachseil „1”, 10-11,5 mm), półwłkowe (Halbseil „1/2”, ok. 9 mm) używane tylko podwójnie oraz bliźniacze (Zwillingsseil „00”, około 8,5 mm) również używane podwójnie. Oba te typy zgodnie z normami mogą być stosowane do

zjazdu na pełną długość, ostatni przez połączenie. Sprawom trwałości lin, impregnacji, sposobowi użytkowania poświęcone są następane strony.

Repsznur i pętle taśmowe według podręcznika są znormalizowane (EN i UIAA). Ich wytrzymałość podaje niniejsza tabela.

Średnica d(mm)	Minimalna siła zerwania (Mindestreisskraft)	
4	3,2 KN	(ok. 320 kp)
5	5,0	500 kp
6	7,2	720 kp
7	9,8	980 kp
8	12,8	1280 kp)

przy czym siła powyższa określona jest wzorem:

$$\text{Mindestreisskraft (kp)} = d^2 \text{ (mm)} \times 20$$

Powyższe informacje podaję tu tylko przykładowo, gdyż w omówieniu podręcznika nie ma na to miejsca.

Zgodnie z zasadą przyjętą w niemieckojęzycznych krajach europejskich Pit Schubert zaleca używanie **uprząży biodrowej w połączeniu z piersiową, wykonaną w formie ósemki lub dwuczęściową piersiową i siedzeniową**, a dla narciarskich i lodowcowych wędrowców **kompletną** z możliwością rozpinania taśm wokół uda. Uprząże też muszą być wykonane zgodnie z normami EN i UIAA. To samo dotyczy karabinków, których wyróżnia cztery rodzaje oraz osobne do wspinaczki na via ferrata (Klettersteigkarabiner). Dla równoczesnego asekurowania dwu partnerów na pojedynczych linach poleca płytkę, jedynie w tym wypadku pozostawił nazwę angielską firmową „Magic plate”, tak jak i przy określaniu rodzaju kostek (Klemmkeile). Z przyrządów do kotwiczenia w skale podane są dwa rodzaje: typu Friend i Slider z określeniem warunków zastosowania zgodnie z normami EN i UIAA.

Dostównie na dwu stronach opisane są typy haków i ich zastosowanie określone z inżynierską precyzją. Wybór kompletu na wspinaczkę zależy od następujących kryteriów: rodzaju skały, stopnia trudności, użycia innych środków zabezpieczających, jak kostki i przyrządy mocujące, długości drogi i częstości ich użycia. Ciekawy jest podział haków od rodzajów materiału na miękkie (Weichstahlhaken) i twarde (Hartstahlhaken) i powiązania tego z rodzajem skały: wapień, porfir, piaskowce – 2/3 zestawu miękkie i 1/3 twarde, granit, kwarcyt, balt – 1/3 zestawu miękkie i 2/3 twarde.

W podręczniku bardzo zwięźle przedstawione jest zastosowanie kostek, haków, młotków skalnych, **haków wywiercanych** (Bohrhaken) u nas występujących pod nazwami z języka angielskiego: spity i ringi, zaczepy typu Fiffi, pętle ze stopniami (Trittleiter), przyrządy do zaciskania na linie (Steigklemmen) oraz przyrządy do zjazdu (Bremsgäret) jak ósemka (Abseilachter).

Przykładem dążenia do porządkowania jest podział przyrządów zaciskowych na dwie grupy:

– **Seilklemmen mit Griff, czyli z uchwytami**, do wspinaczki z pomocą liny (przyrządy typu Jummar)

– **Seilklemmen ohne Griff, czyli przyrządy zaciskowe bez uchwytu** (typu Shunt, Croll), do asekurowania przy wspinaczce w pojedynkę (solo) i przy zjazdach.

W osobnym rozdziale omówione jest wyposażenie do wspinaczki w lodzie i śniegu. Autor określa typy przyrządów do lodu (Eisgäreten) w zależności od kształtowania i przeznaczenia. Podaje sposób zabezpieczenia ich przed zgubieniem. A więc przy pomocy pętli z pierścieniem przesuwającym po stylisku lub taśmą i repsznurem, przymocowanym do uprząży – na lodowcach i stokach śnieżno-lodowych.

Krótkie pętle z taśm z zasuwką lub linki obejmujące nadgarstek celem odciążenia mięśni i ścięgien dłoni przy wspinaczce w stromym lodzie metodą kotwiczenia. Tu jednak podręcznik nie nadaża za postępem technicznym.

Raki dzieli na cztery typy zależnie od przeznaczenia:

– **półraki** (Halbsteigeisen) do wędrowania po lodowcach i polach firmowych.

– **uniwersalne raki** (Uniwersalsteigeisen) do wędrowania po lodowcach, stromych polach firmowych, wspinania się w stromym lodzie i terenie skalno-lodowym lub śnieżnym.

– **raki z prostymi przednimi zębami** (Steigeisen für Steileis) do wspinaczki w ekstremalnie stromym lodzie, nie do chodzenia po lodowcach i stromych stokach śnieżnych (Chouinard).

– **szttywne raki typu skrzynkowego** (Gelenklose Steigeisen) dla ekstremalnie stromego lodu (Fotfang).

Autor wspinaczkę w lodzie dzieli na **Vertikalzackentechnik**, co można by przetłumaczyć jako **technikę prostopadłego stawiania zębów raków** znaną jako **technika Eckensteina** lub przez niektórych jako francuska, oraz **Frontalzackentechnik**, czyli **technika wspinaczki na przednich zębach raków**. Wreszcie **Kombitechnik**, czyli **kom-**

binowana będąca połączeniem dwu poprzednich (patrz GiA 4/97 s. 21 i 22).

Pracę rąk ujmuje w dwa rodzaje techniki: **Kopfgreiftechnik** – trzymanie przyrządu za głowicę oraz **Schaftgreiftechnik** – trzymanie przyrządu za rękojeść (patrz GiA s. 22 i 23).

Do kotwiczenia w lodzie zaleca tylko śruby rurowe i haki rurowe typu Snarg. Wszystkie inne mają za małą wytrzymałość i niekorzystnie oddziałują na lód przy ich wbijaniu.

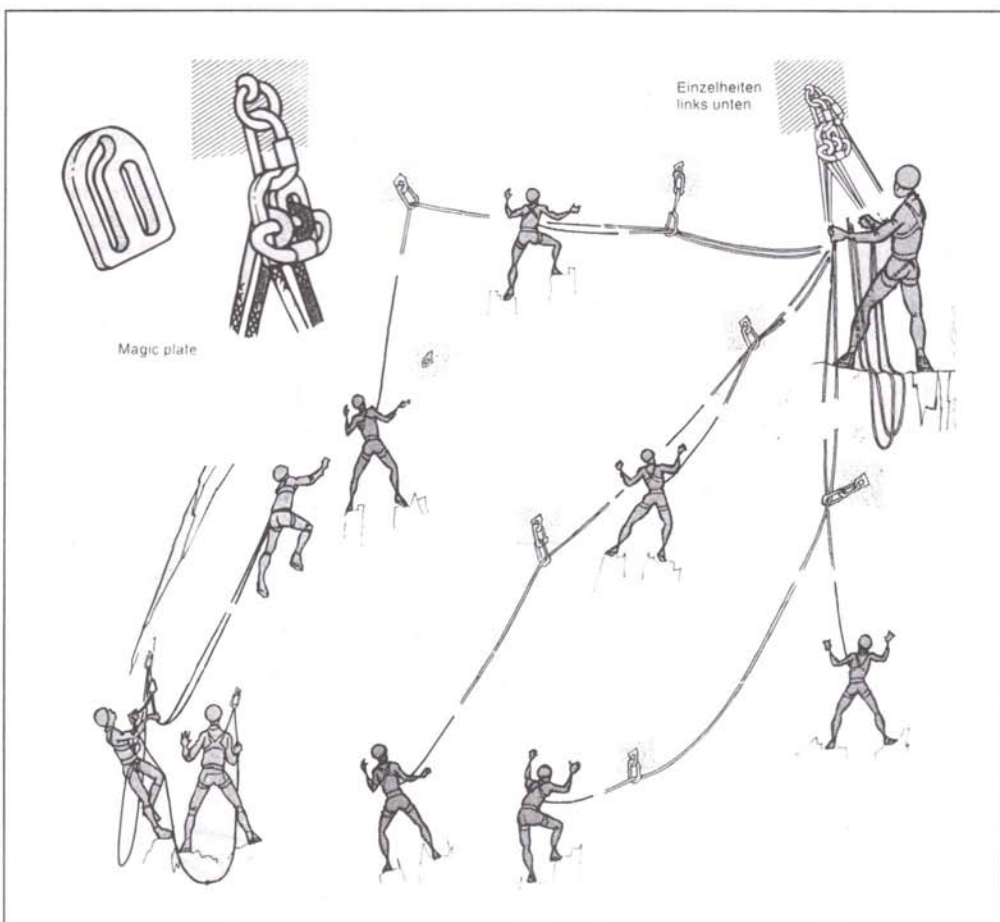
Z zakotwień typu T omawia w podręczniku tylko użycie kotwicy śnieżnej (Firnanker). Z innego sprzętu zaczep do lodu (Eis-Fiffi) i topatkę mocowaną do czekana (Firmschaukel).

Z węzłów opisuje tylko 8 rodzajów, co ma zupełnie wystarczyć. Kolejny rozdział poświęcony jest zastosowaniu liny do asekuracji w skale. Podane

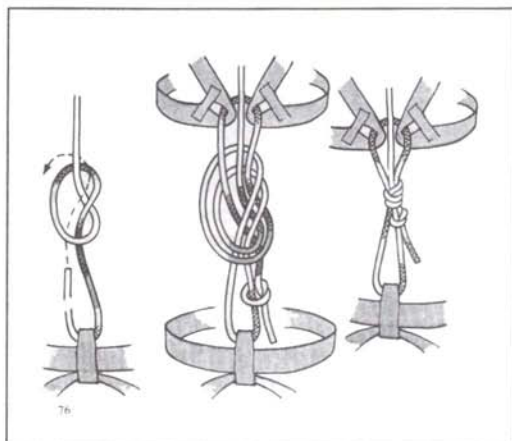
są tu sposoby wiązania liny do uprząży, zakładanie stanowisk asekuracyjnych, użycie liny do asekuracji przy pomocy węzła półwyblinki, ósemki, płytki Stichta, przyrządu Grigri oraz autoasekuracji przy wspinaczkę samotnej (solo) w skałach. Autor omawia krótko spinaczkę w skale w zespołach dwuosobowych i trójosobowym, ale w tym drugim przypadku tylko przy równoczesnym wspinaniu się drugiego i trzeciego partnera. Tak popularnego dawniej wspinania się trójki w linii z asekurującym środkowym trzeciego, w ogóle nie uwzględnia jako metody zbyt powolnej. Do takiego wspinania i asekuracji potrzebne są płytki „Magic plate” (patrz rys.).

Pit Schubert dzieli wspinaczkę na:

- **Freiklettern** – swobodna wspinaczka często u nas określana nieprawidłowo jako klasyczna
- **Künstliche Klettern** – wspinaczka ze sztucz-



W swoim podręczniku Pit Schubert tylko taki sposób wspinania przewiduje dla zespołu trójkowego. Do tego jednak potrzebne jest posiadanie płytki hamującej „Magic plate”.



Autor podręcznika podaje tylko ten jeden sposób wiązania uprząży biodrowej i piersiowej bezpośrednią linią pojedynczą.

nymi ułatwieniami, do której zalicza podciąganie się liną, przytrzymywanie się liny, używanie pętli ze stopniami (ławeczek), czyli u nas podciąg, odpoczynek przy zakotwiczeniu, stosowanie zaczepu Fiffi, trawersy liniowe, trawersy z pomocą dodatkowej liny lub jednej z lin bliźniaczych oraz wahadła. Do tej grupy zalicza też wspinaczkę po drogach typu via ferrata, podając tutaj dwa typy zestawów do autoasekuracji: V-Form i Y-Form ujęte w normie EN. Norma UIAA poleca tylko sposób drugi Y, który zwiększa bezpieczeństwo, zmniejsza ilość czynności, a przez to czas przeznaczony na manipulacje (patrz rys.).

Omawiając zastosowanie liny do zjazdu zaleca zakładanie go zawsze z dwu punktów zakotwiczenia połączonych pętlą lub pętlami, co poprawia rozkład obciążeń i zwiększa bezpieczeństwo.

Krótko podane są sposoby pomocy koleżeńskiej przy odpadnięciu.

Pit Schubert pisze: „W terenie alpejskim nie ryzykować świadomego odpadnięcia – ryzyko niezamierzonych upadków jest już wystarczająco duże. Przybliżenie się do granicy odpadnięcia ograniczyć do minimum. Tylko w bezpośrednim sąsiedztwie wyminiętego pewnego zakotwiczenia (punktu przelotowego) można zaryzykować”.

Przechodząc do zastosowania liny na lodowcach podaje wiązanie liny do uprząży za pośrednictwem karabinka typu HMS lub dwu przeciwnie ustawionych karabinków (Redundanz) (patrz rys.). Autor przewodników szwajcarskich Walter Müller w ogóle nie dopuszcza w dowiązywaniu liny do uprząży pośrednictwa karabinka! Następnie omawia Pit Schubert wiązanie się zespołów

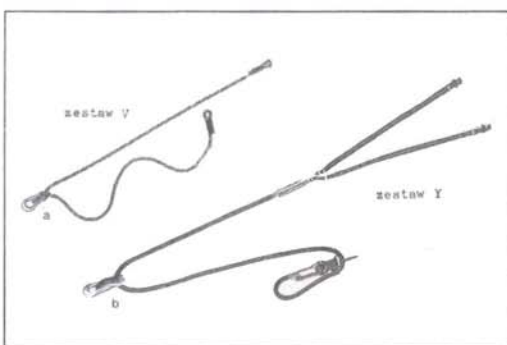
i prowadzenie liny na lodowcach, także stosowanie węzłów na linie dla zwiększenia oporu i zablokowania liny przy wpadnięciu uczestnika do szczeliny. Podaje krótko metodę postępowania przy wpadnięciu partnera do szczeliny, przy tym zakładania zakotwiczenia. Podkreśla, że jeden człowiek nie jest w stanie gołymi rękami wydobyć drugiego za szczeliny, potrzebnych byłoby tu co najmniej 5 osób. Także wywieszony brzeg szczeliny uniemożliwia wyciągnięcie i może być powodem poważnych przy tym obrażeń. Stąd potrzebne jest opisanie podstawowych sposobów, które wydobyć umożliwiają.

Krótko opisuje też podstawowe sposoby wspinaczki w stromym lodzie i przy tym asekurację, wspinaczkę na śnieżnych graniach, w zejściu i przekraczaniu szczeliny brzeżnej.

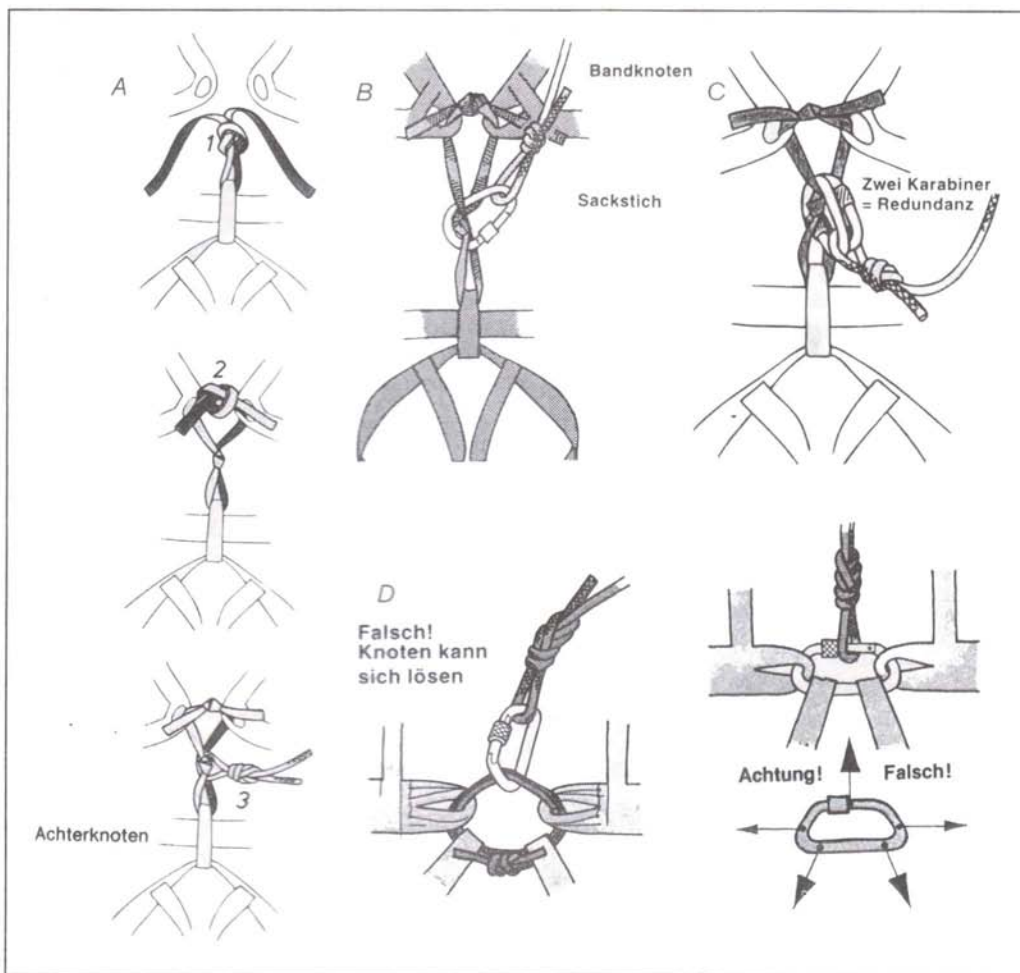
Osobny rozdział stanowi wspinanie się z pomocą poręczówek z użyciem do tego przyrządów zaciskowych. Ostatni rozdział poświęcony jest wzywaniu pomocy, wyborowi i przygotowaniu miejsca dla helikoptera.

W zakończeniu Pit Schubert zwraca uwagę na fakt, że wiele uczyniono w ciągu ostatnich dziesięcioleci dla poprawy bezpieczeństwa, metod asekuracji i ich zoptymalizowania. Uważa, że zmniejszył się też jednak respekt wobec gór. Według statystyk 80% wypadków ma swoje źródło w postępowaniu wspinających się, stąd potrzeba takiego podręcznika. Może zmniejszy to liczbę wypadków.

Podręcznik napisany przez wybitnego specjalistę jest przy tym doskonałym wzorem dla opracowania takich publikacji. Nie przegadany! Dobrze zilustrowany, co tu ma zasadnicze znaczenie. Jego cena 19.80 DM jest jeszcze w granicach dostępnych Polakom. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby wydanie go również w języku polskim, co proponuję do rozpatrzenia Komisji Szkoleniowej PZA i naszym wydawcom.



Dawny (a) i nowy (b) zestaw lonży na drogi via ferrata firmy PETZL.



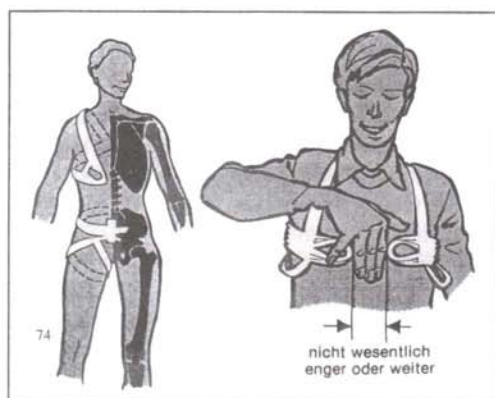
A – sposób wiązania liny do uprząży biodrowej i piersiowej pokazany w podręczniku.

1 – kluczka (Sackstich), 2 – taśmowy (Bandknoten), 3 – ósemka (Achterknoten).

B – Wiązanie za pośrednictwem karabinka autor przewiduje tylko dla asekuracji na lodowcach przy czym zaleca z dwoma karabinkami HMS (C).

D – nieprawidłowe wiązanie.

Uprząż piersiowa musi być tak dobrana, aby został zachowany odstęp 2-3 palców, inaczej utrudniony jest oddech, szczególnie przy wolnym zwisie. Odstęp nie może być również większy.



Pit Schubert



Pit Schubert

Bardzo mało jest ludzi, którzy odegrali tak doniosłą, a zarazem tak mało widowiskową rolę w alpinizmie, że dla wielu zainteresowanych pozostają nieznanymi. A przecież dzięki jego działaniom nastąpił ogromny postęp w technice i sprzęcie wspinaczkowym oraz metodach postępowania zapewniających znacznie większe bezpieczeństwo. Dzięki jego publikacjom do świadomości wspinaczy dotarło wiele problemów, które zawsze istniały, lecz mechanizm ich powstawania pozostawał nieznanym.

Pit Schubert urodził się w 1935 roku. Górąmi zaczął się interesować mając 18 lat, ostre wspinanie zaczął w 1959 roku. Uczestniczył w czterech wyprawach, w dwu był kierownikiem. Należy do piątki pierwszych Niemców, którzy przeszli trzy wielkie północne ściany alpejskie: Eiger, Matterhorn i Jorasjes. Przeszedł także wiele innych znaczących ścian skalnych i lodowych dokonując w Alpach i górach pozaeuropejskich trzydziestu kilku pierwszych przejść oraz kilku pierwszych wejść na szczyty.

Będąc inżynierem budowy maszyn 15 lat pracował w przemyśle lotniczym w projektowaniu i rozwoju tego działu produkcji. W 1968 roku został członkiem założycielem utworzonego z inicjatywy Manfreda Sturma i Toniego Hiebelera Sicherheitkeis DAV i został jego

kierownikiem. Doświadczenie zdobyte w przemyśle o wysokim standardzie wykorzystał w nowej dziedzinie przyczyniając się wybitnie do wielkiego skoku, jaki dokonał się w technice alpinistycznej w sporcie wspinaczkowym ostatnich dwudziestu lat. Stworzył podwaliny pod uznaną dziś teorię bezpieczeństwa we wspinacze. Od 1978 roku przeszedł całkowicie do pracy w Deutschen Alpenverein, zajmując się już wyłącznie pracami nad bezpieczeństwem górskim i badaniami wypadków górskich. Jest także prezydentem Komisji Bezpieczeństwa UIAA i jej technicznym dyrektorem. Z jego inicjatywy powstało wiele norm UIAA, DIN a potem EURO-Norm. Jest autorem podręczników wspinaczkowych, artykułów i najobszerniejszego, a zarazem najważniejszego jego dzieła: „Sicherheit und Risiko in Fels und Eis”. 25 Jahre Sicherheitkreis DAV 1995.

Polskim czytelnikom znany jest z artykułów publikowanych w „Taterniku” „Lina nie jest gwarancją bezpieczeństwa” T. 2/1984, „O bezpieczeństwie wspinaczki w lodzie” T. 1/1983, „Asekuracja z ucha lodowego” T. 1/1984. Również szereg razy powoływałem się na niego i cytowałem go w moich artykułach o wspinacze w lodzie i śniegu oraz o wędrowaniu po lodowcach.

Jerzy Wala

Asekurujemy i jedziemy

Żyjemy w czasach, gdy rozpasany kapitalizm zawitał w nasze progi i coraz lepiej zaopatruje rynek sportów wspinaczkowych w mnóstwo mniej lub bardziej udanych przyrządów do asekuracji i zjazdów. Postanowiłem więc pokusić się o subiektywny opis niektórych z nich.

W moim przekonaniu nie ma przyrządów, które sprawdzają się doskonale zarówno w czynnościach asekuracyjnych, jak i zjazdowych.

Moim zdaniem idealny przyrząd asekuracyjny to taki, który nie wymaga koncentracji na samym sobie – rozumiem przez to, że jego obsługa jest jednoznaczna. Operowanie linami pozwala na wypuszczanie i wybieranie w mało absorbujący sposób. Analogiczne cechy powinien posiadać przyrząd do zjazdu. Z doświadczenia wynika, że połączenie funkcji asekuracyjnych i zjazdowych w jednym przyrządzie nie jest takie proste.

Przyrząd do asekuracji jest urządzeniem takim samym, jak np. otwieracz do puszek. Wykonuje swoją pracę lepiej lub gorzej. Idealnie pracuje dobrze zarówno podczas asekuracji, jak i w zjazdach.

Jakie czynniki określają przydatność danego przyrządu ?

- Są to właściwości czysto fizyczne, takie jak:
- masa, gabaryt i poręczność
 - atest wytrzymałości oraz certyfikat bezpieczeństwa
- oraz użytkowe:
- płynność przesuwu liny, podatność na skręcanie liny
 - łatwość utrzymywania partnera na zablokowanej linie
 - możliwość bezpiecznego zablokowania liny w przyrządzie
 - siła, jaką trzeba użyć do miękkiego podawania – hamowania liny
 - praca w trudnych warunkach – mokra lina lub zalodzona.

Czynnik określający stopień odporności na ludzką pomysłowość jest tu celowo pomijany. Każdy z przyrządów posiada „Instrukcję obsługi” – niestosowanie się do zaleceń producenta oraz ignorowanie elementarnych zasad asekuracji powoduje narażanie się na niepotrzebne ryzyko. Powstaje para-

doks – zamiast zwiększenia bezpieczeństwa dokładamy jeszcze jeden czynnik zagrożeniowy.

Ogólne doświadczenia zdają się wskazywać, że na komfort pracy z danym przyrządem największy wpływ ma jakość i grubość liny, której używamy.



Ósemka

Stary dobry patent, chciałoby się rzec. No cóż, nie jestem fanem tego przyrządu. Ósemka – przeznaczona właśnie do zjazdu, jak się jednak okazuje wcale nie ma najlepszych notowań, ponieważ w koshmarny sposób skręca liny. Istnieje splot okoliczności powodujący możliwość obsunięcia się liny w górnym uchu, co kończy się zablokowaniem przyrządu. Stosowanie jej do zjazdu w metodzie tzw. wysokiego przyrządu poprawia trochę kontrolę nad zjazdem. Metodą godną polecenia jest sposób wpinania i transportu ósemki. Po prostu wpinamy ją za duże ucho do karabinka transportowego. Zakładając zjazd – przekładamy linę przez duże ucho i wypinając karabinek z dużego ucha wpinamy od razu w ucho małe. Przy zakończeniu zjazdu wypinamy karabinek z małego ucha i wpinamy od razu do dużego i przyrząd dalej jest pod kontrolą – po prostu trudniej go zgubić. Uwaga ta dotyczy głównie zachowania się w terenie, gdzie istnieje ciąg zjazdów – lub w czasie wycofu ze ściany.

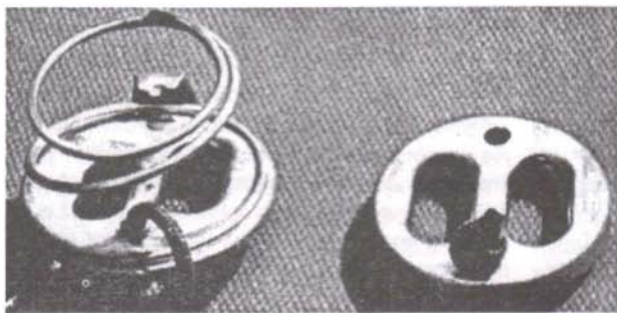
Metoda, którą od niedawna znowu się lansuje

przez różnych „lokalnych matadorów”, a mianowicie tzw. szybka ósemka jest pewną odmianą rosyjskiej ruletki. Stosowanie jej do asekurowania partnera, jako prowadzącego, wyzwała dodatkową porcję adrenaliny. W przypadku niespodziewanego odpadnięcia prowadzącego zbyt duży poślizg liny w przyrządzie może doprowadzić do nie kontrolowanego wypuszczenia liny. Co dalej? Każdy sam sobie dopowie dalszy scenariusz. Oczywiście sceptycy zarzucą mi demonizowanie problemu. Bo jakoś to będzie.

Istnieje również tendencja stosowania ósemki jako płytki Stichta – małe ucho w ósemce służy jako miejsce przewleczenia liny blokowanej od dołu karabinkiem. Ósemka firmy TRANGO posiada grube małe ucho, a w instrukcji jako alternatywny podany jest schemat wspinania liny właśnie w ten sposób.

Nie jest to jakaś wymyślna teoria – tylko po co?

Pozytywną cechą ósemki jest to, że w odróżnieniu od płytki czy kubka, w zadowalający sposób zachowuje się na zalodzonych linach. Bardziej miękko i bez zacięć można w niej się opuszczać – liną przepływa przez przyrząd bez mocnych przelamań i po dość dużej płaszczyźnie. Generalnie ósemka jest przyrządem umożliwiającym asekurowanie i zjazdy, posiada cechy uniwersalne (pracuje na różnych linach połówkowych i pojedynczych), jak mówiłem na początku, to mój ulubiony przyrząd.

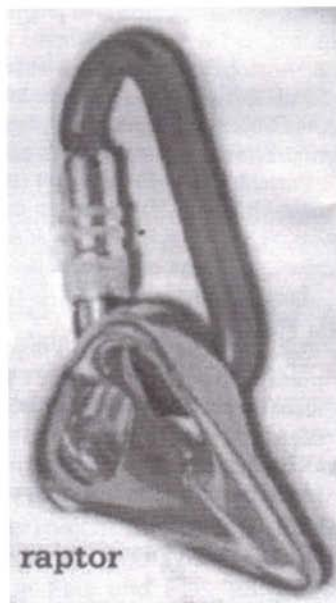


Płytki

Zdecydowanie lepsze notowania posiada płytki Stichta i jej rozwinięcie – kubek. Płytki występują ze sprężyną lub bez. Sprężyna powoduje, że lina nie zakleszcza płytki na karabinku w razie gwałtownego uderzenia lub szarpnięcia, pomaga bardziej miękko prowadzić linę w przyrządzie. Wadą płytek jest generalnie duży kąt przegięcia liny w przyrządzie co powoduje znaczne naprężenia krawędziowe w linie, a przy dużej prędkości zjazdu powoduje osypywanie się na kolana jądającego materiału z którego wykonana jest lina. Prostota obsługi stawia je w gronie faworytów pod względem uniwersalności.

Kubek jest amerykańską odpowiedzią na doskonały pomysł Europejczyków. Jego prostota poraża bardziej niż nam się wydaje. Jedyne fineszja kolorów i kształtu może zadziwić. Kubek posiada jedną niedogodność. A właściwie dwie. Przepychanie mokrej liny przez wnętrze kubka wyrabia nam ciępliwość i siłę w palcach. Trudne do uniknięcia szarpanie w czasie zjazdu wystawia na próbę nasze punkty z których założyliśmy zjazd. Poważnie mówiąc, początkującym dość trudno uzyskać płynne podawanie liny w czasie zjazdu. Tę umiejętność trzeba po prostu opanować. Trochę łagodzi tę niedogodność kształt i grubość przekroju karabinka. Im większy i grubszy, tym lepszy. Jak w życiu.

Reasumując: płytka i kubek spełniają w sposób zadowalający oczekiwania od strony użytkowej. Są proste w obsłudze, nie wymagają specjalnych umiejętności. Właściwe użytkowanie wymusza sam kształt przyrządu.



Na wyspach brytyjskich króluje indywidualność. Może dlatego narodził się tam przyrząd zwany RAPTOREM (moda na Spielberga?). Według opisu czasopisma CLIMBING jest on sexy?!

A jaki drogi! Zalety? Nieźle się nazywa, miękko przepuszcza linę – pod warunkiem, że uda się nam ją od strzału wepchnąć. Są niejaki trudności z linami o grubości powyżej 10 mm. Bardzo dobrze spisuje się na linach pojedynczych i podwójnych niezależnie od stanu liny.

Posiada pewną niedogodność – kosztuje 30\$.



Prostszym patentem przypominającym dawną płytkę firmy KONG jest płytką Yatesa. Tu oszczędność formy jest zaletą. Płytkę posiada małe kąty przegięcia i bardzo delikatnie traktuje linę przy zjeździe. Kombinacja karabinków blokujących powoduje, że można wykonywać zjazd z minimalnym przyłożeniem siły hamującej. Yates niewiele waży – w połączeniu z karabinkiem typu HMS tworzy alternatywę noszenia dwóch przyrządów: do zjazdu i asekuracji. Pod warunkiem, że węzeł zwany półtybliką jest naszym ulubionym przyrządem do asekuracji.

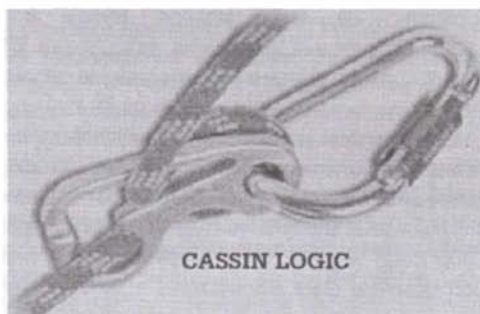


Posiadanie przyrządu samoblokującego jest pewną nowością w szarzyźnie wspinaczki codziennej. Ułatwia na pewno życie wspinacza. Stopień skomplikowania budowy uzależniony jest od przeznaczenia.

Bardzo uniwersalne GRIGRI posiada oprócz stu różnych zalet zasadnicze wady: wagę, cenę i to że pracuje tylko na pojedynczej linie. Istnieje tajemny sposób „motania” dwóch lin do tego przyrządu, ale nie wiadomo czy Ferdynand Petzl pokazałby to bezbłędnie na pokazie marketingowym. Serio mówiąc, zalety GRIGRI docenią wspinacze ceniący sobie komfort i wygodę w asekurowaniu i zjeżdżaniu oraz... pracujący na robotach wysokościowych.

Patent firmy WILD COUNTRY zwany SRC (Single Rope Controller) jest pewnym kompromisem pomiędzy kubkiem a GRIGRI. Przy czym posiadanie i używanie go świadczy o mocy tego kto SRC używa. Podawanie liny jest pracą porównywalną z pompowaniem opony samochodowej małą pompką od roweru. Używać go można do zjazdu tylko na pojedynczej linie. Największą wadą jest to, że można założyć SRC na linę w sposób niewłaściwy – przy obciążeniu możemy oddalić się z okrzykiem: „Banzai!”, oczywiście jeżeli chcemy komuś zaimponować.

Trzecim przyrządem samoblokującym, który opiszę, jest LOGIC firmy CASSIN. Zacytuje czasopismo CLIMBING:



„...idea dobra, pomysł właściwy, ale brak zakończenia”. Skąd my to znamy? Przyrząd prosty w wyglądzie daje nadzieję na trafny wybór, ale przysparza sporo problemów. Jest nieporęczny dla mańkutek. Łatwo w nim zablokować linę – co gorsza nie w tej chwili o którą nam chodzi i jak to zwykle bywa, trudno zablokować linę, gdy tego potrzebujemy. Winę za to ponosi niestabilność przyrządu z wpiętą do niego liną. Należy dokładnie układać ręce prowadząc asekurację. Nie nadaje się do zjazdów. Pracuje na pojedynczej linie.

Płytką przewodniczką lub GI-GI – pod tymi określeniami kryje się dość ciekawy przyrząd do asekurowania na górnym stanowisku podchodzących z dołu. Umożliwia asekurację na oddzielnych żyłach i przy odrobinie wprawy umożliwiają ściąganie dwóch partnerów jednocześnie, nawet gdy poruszają się różnym tempem. Łatwość zablokowania liny to atut, ale i problem, dlatego należy przećwiczyć patent z kontrolowanym odblokowaniem liny na „sucho” celem uniknięcia rozczarowania w górach, że coś nam nie idzie.

A więc kubki w dłoń! (lub inne patenty) i asekurowmy się należycie. Przyrząd nie myśli za nas. To my mamy myśleć. To naprawdę nie boli.

Zdjęcia: CLIMBING, opracowano na podstawie IM by PETZL, czasopisma CLIMBING.

Popularność w minionych latach

Liczba wspinaczek na terenie Tatr Polskich jest w ostatnich kilku latach stabilna i wynosi około 3.500-4.000 rocznie (obliczenia szacunkowe dla „Piątki”, Tatr Zachodnich i wspinaczek nie odnotowanych).

W porównaniu do okresu swej świetności taternictwo bardzo straciło na popularności. Według badań J. Czochońskiego (Taternik 1/88) w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych liczba ta wynosiła 5.000-7.000 wspinaczek w ciągu roku. Tak więc ruch taternicki uległ zmniejszeniu o 40%. Porównując stan dzisiejszy do tego z lat siedemdziesiątych, można wnioskować, że dysproporcje te były jeszcze większe, jako że od 1982 roku notowany był rokroczny spadek liczby wspinaczek (J. Czochoński, 1988).

Ze względu na brak szerszych danych, nie można w pełni określić w jaki sposób kształtowała się aktywność wspinaczy w Dolinie Gąsienicowej. Dane z lat kalendarzowych 1994-1997 wskazują, że liczba wspinaczek oscyluje wokół 1.200 odnotowanych przejść w ciągu roku i nie wykazuje większych odchyłań.

Dość ciekawe spostrzeżenia daje obserwacja aktywności taternictwa w Dolinie Rybiego Potoku gdzie zakres danych jest o wiele szerszy. Otóż zmiany natężenia działalności taterników w tej dolinie odzwierciedlają zmiany społeczno-gospodarcze zachodzące od kilkunastu lat w kraju. Spadek liczby wspinaczek w latach kalendarzowych 1986-1989 potwierdza tezę J. Czochońskiego o malejącym zainteresowaniu Tatrami w dekadzie lat osiemdziesiątych. Przyczynę regresu można wiązać przede wszystkim z zaostrzeniem sytuacji polityczno-gospodarczej oraz stopniowym odplywem doświadczonych wspinaczy w góry wysokie i średnie.

Rok 1989 był przełomowym dla całego społeczeństwa, w tym również i dla taterników. Liczba wspinaczek w Morskim Oku osiągnęła prawdopodobnie najniższą wartość od co najmniej dwudziestu lat. W porównaniu z poprzednim rokiem kalendarzowym zmalała ona o połowę (ok. 700 przejść). Co ciekawe w sezonie zimowym 88/89 frekwencja była całkiem dobra, nawet lepsza niż w dwóch poprzednich sezonach zimowych. Absencja dotyczyła taternickiego lata w którym odnotowano tylko około 550 przejść. Nasuwa się refleksja: czy miała na to jakkolwiek wpływ majowa tragedia na Evereście, w której zginęły sławy polskiego taternictwa Zygą, Gienek, Wacek, Gardziel, Falco? No cóż... Pozostawmy te dywagacje socjologom.

W roku kalendarzowym 1990 liczba wspinaczek po raz pierwszy od 9 lat zwiększyła się (ok. 1.150). W dalszych latach nieznacznie spadała, by od 1994 roku stopniowo wzrastać. W roku 1997 odnotowano w Morskim Oku ponad 1.200 wspinaczek. W roku tym po raz pierwszy od 4 lat liczba wspinaczek w Morskim Oku przewyższyła ilość wspinaczek w Dolinie Gąsienicowej.

Ogólna liczba wspinaczek w kolejnych latach kalendarzowych 1994-1997 dla Doliny Rybiego Potoku i Doliny Gąsienicowej

Rok	Ogólna liczba wspinaczek	
	Dolina Rybiego Potoku	Dolina Gąsienicowa
1994	1015	1193
1995	1105	1179
1996	1137	836
1997	1214	1120

Troje kursantów i instruktor

Jesienią 1992 r. w Morskim Oku odbywał się jeden z licznych kursów wspinaczkowych, organizowanych przez kluby taternickie zrzeszone w Polskim Związku Alpinizmu. Prócz zajęć teoretycznych, adepci, pragnący zdobyć uprawnienia do samodzielnych wspinaczek, pokonywali skalne drogi pod kierunkiem instruktorów. Jeden z nich, należący do najbardziej doświadczonych i obytych z górami, mający w swym dorobku niezliczone drogi i udział w alpinistycznych wyprawach, oswojony z zimą, ze skałą, śniegiem i lodem, pięćdziesięcioletni Jerzy Hirszowski, pragnął pokazać trójce swoich kursantów prawdziwie piękną i wysokogórską drogę w masywie Wielkiego Mięguszowieckiego Szczytu. Zwlekał z wyruszeniem, ponieważ pogoda była „niezdecydowana”. Miała nadejść zmiana, lecz zapowiedzi wciąż się nie sprawdzały. Warunki były wystarczająco dobre, aby zespoły wyruszające na ściany kończyły pomyślnie swe drogi i schodziły na dół. Toteż gdy kolejnego dnia nie przyszło oczekiwane pogorszenie, uznał, iż pogoda jeszcze jeden dzień wytrzyma i zespół zdąży przejść niezbyt długą drogę.

Wybrał w tym celu drogę Świerza, prowadzącą środkiem wschodniej ściany Mięguszowieckiego, znacznie krótszą niż wiele innych dróg na okolicznych ścianach, ponieważ zaczyna się wysoko, w górnej części Kotła Mięguszowieckiego, a pokonanie około 400 m różnicy poziomów do szczytu zajmuje w warunkach letnich zaledwie trzy i pół godziny. Zdawało się, że w tym czasie niewiele może się zdarzyć. A gdyby nawet, to znalezienie zejścia ze szczytu, także przy złej pogodzie, dla zającego teren Hirszowskiego, nie stanowiło problemu.

Tak więc, wcześniej rano, dnia 4 września, przy utrzymującej się nadal nienajgorszej pogodzie, instruktor z trzema kursantami wyruszył pod ścianę. Zespół stanowili: dziewiętnastoletnia Magdalena Dąbrowska i Małgorzata Czubasiewicz oraz o rok starszy Marcin Tomczyk. Na miejsce dotarli podchodząc turystycznym terenem od Czarnego Stawu pod Rysami do Mięguszowieckiego Kotła i przez kocioł, po rumowiskach i piargach, stromo w górę do podnóża ściany, gdzie związali się liną.

Wspinaczka postępowała sprawnie. Grzędą, na małą kazalnicy, piarzystym półkiem, spiętrzonymi skałkami, po urwistych trawach, zacięciami, zachodem przecinającym ścianę, załupą pod okapami, pionowym kominkiem, gdzie dłoń trzeba klinować w pionowej szczelinie, skalnymi listwami. Wznosili się niedostępnym urwiskiem, ziemia zostawała w dole. Byli podnieceni mającą dać im wyższy stopień górskiego wtajemniczenia wspinaczką na „Mięgusza”, jednego z najwspanialszych tatrzańskich olbrzymów. Jak radosna muzyka brzmiała w uszach stukot młotka wbijającego haki. Dźwięczały coraz wyższymi tonami, których tajemnicze echa krążyły w zamkniętej przestrzeni Kotła Mięguszowieckiego. Wtórowały im zwykle okrzyki taternickiego dialogu, upewniające wszystkich, iż wspinaczkowy rytuał przebiega bez zakłóceń: Popuść! Ściągaj linę! Asekuruj! Lina wolna! Możesz iść! Idę!

Niebo pociemniało, zza grani wypelżyły szare chmury i zaczęło kropić. W ciągu kilku minut wszystko się odmieniło. Tkwił w mrocznych skałach, wilgotny granit i trawki nasiąknięte wodą straciły swój urok. W tej chwili należało zdecydować: iść dalej czy przerwać wyprawę i cofnąć się zjeżdżając pod ścianę. Postanowili się wspiąć. Hirszowski widać uznał, że deszcz nie jest poważną przeszkodą, nawet jeśli między krople wmięszają się płatki śniegu. Ruszyli do góry, byli już w połowie ściany i zdawało się, że droga do szczytu nie zajmie więcej czasu, niż zjazdy odcinkami, kolejno czterech osób.

W południe do wierzchołka brakowało im nie więcej jak 150 metrów, zbliżali się do łatwiejszego, tracącego na stromiznie terenu. Lecz wtedy nastąpiło gwałtowne pogorszenie pogody. Z minuty na minutę wiatr przybierał na sile, a temperatura spadała. W krótkim czasie deszcz zmienił się w śnieżyce. Znaleźli się w innym świecie, w innej porze roku. Na góry spadła zima.

Widoczności nie było, huczące strugi wichury niosły gęstą, nieprzejrzystą, pulchną masę śniegu, osiadającą na skałach, twarzach, przemoczonych ubraniach. Na półkach i listewkach rosły w oczach białe czapy. Na oblepionych płytach nie było już widać stopni ani chwytów, śnieg zamaskował

szczeliny do wbijania haków. Sztywniały palce i grabiały dłonie zanurzone w śniegu, trzymające zaśniężoną linę.

Dalsza wspinaczka stała się niemożliwa. Hirszowski zdał sobie sprawę, że ledwie widząc w śnieżycy koniec własnej wyciągniętej dłoni, nie zdoła odnaleźć drogi, założyć ubezpieczeń, nie mówiąc już o tym, że każdy krok w masach śniegu przywierających do ściany i osypujących się po niej, dla zmarniętych, oślepionych ludzi, może być krokiem w przepaść. Rozważał być może przeczekanie zamieci. Lecz to nie dawało nadziei. Nawet po ustaniu opadu śnieg by pozostał na ścianie. Groził nocleg na mrozie, bez żadnej osłony. A wiatr, uderzając w granitową zaporę, kłębił się przy niej, szalał, wznosił się i spadał wirami, kręcił biczami śniegu, szarpał ubrania, targał liną, odbierał oddech, mroził, wywiewał odwagę.

Jedynym ratunkiem był odwrót zjazdami. Śnieg w tym nie przeszkadzał, w dodatku w tej ścianie można było zjeżdżać na ślepo, zakładając pośrednie stanowiska na szerszych półkach, których nie brakowało. Ich wyszukiwanie i torowanie drogi mógł wziąć na siebie. Kursantom pozostawałyby jedynie, dobrze już przez nich opanowane, zjazdy jego śladem.

Młodzi nie stracili otuchy, w końcu był z nimi stary górski wyga, który nieraz z podobnych opresji wychodził. Mieli jeszcze sporo siły, zimno można było wytrzymać, a zjazdy dawały nadzieję, że już za dwie, trzy godziny znajdą się na dole, w bezpiecznym terenie.

Ruszyli na dół. Hirszowski zjechał pierwszy i natrafiwszy na szeroką półkę, zatrzymał się na niej. Butami odgarnął zaspę. Miejsca było dosyć, aby swobodnie i bezpiecznie pomieścić cztery osoby, bez potrzeby wbijania haka i przypinanie się do niego. Przekrzykując wicherę zawiadomił, że lina jest wolna. Zjechali po kolei, na oślep, ze strugami osypującego się śniegu, coraz bardziej zmarznięci i przemoczeni. Znowu znaleźli się razem. Rozgrzewając się ruchem ściągali za sobą linę. Zeszła bez kłopotu i zacięć, choć strącając im na głowy prawdziwą lawinę. To nie miało znaczenia, śnieg i tak był wszędzie, spadał z nieba fala, a mroźny wiatr zagipsowywał nim twarze.

Następny odcinek. Byłe ku dołowi... Oszczędzając czasu na manipulacje z hakiem, Hirszowski wykorzystał gład granitowy odstający od ściany. Zarzucił nań pętlę, na niej zawiesił linę, wpiął ją w przyrząd zjazdowy, połączony z szelkami, odchylił się do tyłu i zaczął zstępować.

Gład pod jego ciężarem drgnął, przewrócił się i stoczył za krawędź, razem z opartym oń Tomczykiem, który upadł straciwszy równowagę, a pa-

dając próbował złapać potrafcą Dąbrowską, pociągając ją z sobą. Wszyscy troje runęli, na oczach zmartwiałej Czubasiewicz, niknąc w białym тумanie pod jej stopami i spadali w otchłań wzdłuż ściany, która nie jest pionowa ani przewieszona tak jak Kazalnica, więc uderzali o półki, odbijali się od żeber, od granitowych balkonów, staczali z pochylonych trawników, coraz bardziej nieczuli, z coraz większą siłą, szarpani przez skalne zęby, krawędzie, ostrogi, aż po przebyciu 250 metrów, z głuchym wstrząsem ich szczątki wbiły się w piargi pod ścianą. Białe, ciche płatki poczęły je okrywać lodowatym całunem. Wkrótce znikły pod śniegiem.

Na półce, w środku ściany, zawieszona w kłębiącej się wicherze, tkwiła zszokowana i śmiertelnie przerażona dziewczyna. Cały świat się zawałił i nic już nie miało znaczenia: przebojowa wspinaczka, wystrzałowa droga, piękny szczyt, wdechowa przystopka, kumple i kumpelki, taternicki światek... To wszystko się rozwiało jak ulotny dymek, pozostała naga prawda o śmierci i życiu, już w nic nie przybrana, surowa, bezlitosna, elementarna materia istnienia. Tkwiła tam, samotna, jak tylko samotny może być człowiek, porażony śmiercią, oślepiony zamiecią, wiszący nad otchłanią, ogłuszany i szarpany wicherą, przenikany chłodem i dręczony głodem. Nadeszła noc z tężającym mrozem. Po ścianie osypywały się na ramiona, na głowę coraz obfitsze wodospady śniegu. O którejś godzinie spróbowała wołać. Pamiętała, że zdarza się, iż przy bezwietrznej pogodzie przed schroniskiem słychać nawet rozmowy taterników w ścianach. Wołanie dociera z daleka, nad taflą jeziora. Lecz teraz wiatr porywał jej głos, rozpraszał i zagłuszał swym wyciem, świstem, dudnieniem na grzędach i wyszczerbionych graniach. Jednak nie pozostało jej nic innego, nie miała liny, spiwora, płachty biwakowej, jedzenia, kuchenki gazowej. Mogła tylko liczyć na ludzi, którzy dla niej, na jej wezwanie, aby ją ratować, zechcą narazić siebie, wejść w tę zawieruchę, pomiędzy szalejące żywioły.

Następnego dnia rano, gdy zespół nie powrócił, w schronisku wszczęto alarm i dyżurny ratownik wysłał dwa patroli złożone z taterników, jeden do Kotła, drugi do Doliny za Mnichem, na dwie prawdopodobne drogi zejścia grupy Hirszowskiego. Nadal wiał porywisty wiatr, trwał gęsty opad śniegu, w dodatku gęsta mgła spowijała góry. Z Zakopanego ruszyła wyprawa czternastu ratowników, a na prośbę TOPRu Horska Służba rozpoczęła przeszukiwanie południowych stoków Mięgoszów.

O godz. 11.00 patrol z Kotła zameldował przez radio, że przez wicherę przebijają się niewyraźne wołanie, jak się wydaje, od strony Filara Wielkiego Mięgoszowieckiego Szczytu, ograniczającego

wschodnią ścianę z prawej strony. Po upływie godziny przyszedł kolejny meldunek, iż od czasu do czasu słabe wołanie nadal się odzywa, lecz jakby z miejsca niższego niż poprzednio, co trudno ocenić w świszczącym wietrze i przy widoczności zaledwie kilkunastometrowej. Z kolei patrol z Doliny za Mnichem doniósł, że w zwałach śniegu raz po raz gubią ścieżkę, a kurtyna śnieżycy tylko na chwilę odsoniła Małą Galerię Cubryńską. Próba wejścia na nią skończyła się na niczym. Obsuwając się z kaskadami śniegu, unikając lawin, musieli zawrócić.

Około godz. 13.00 zespół ratowników, brnąc do pasa w śniegu, przy widoczności zerowej, w oślepiącej zadymce, zdołał wejść na górne siodło Filara, skąd przy lepszej pogodzie miałby już wgląd w ścianę. Pozostali ratownicy gromadzący się w Morskim Oku weszli do Kotła, zakładając tam wysuniętą bazę, skąd prowadzili poszukiwania w kilku kierunkach. Nie udało się próba dotarcia na Przełęcz pod Chłopkiem. Wołania w kierunku wschodniej ściany nie miały odzewu. Również bezowocne były poszukiwania u jej podnóża. O zmroku wszyscy powrócili na dół.

O godz. 19.00, w ciemnościach, kolejnych pięciu ratowników wyruszyło z zadaniem wejścia na Galerie Cubryńskie. O północy wrócili, dotarwszy zaledwie do Pleców Mnichowych, pokonani przez zwały śniegu i zerową widoczność, wyczerpani i przemoczeni na wylot. Wyprawę zawieszono do rana.

Kolejny poranek, 6 września, nie przyniósł żadnej zmiany. Wiatr wiał z siłą 25 m/sek, temperatura wynosiła -3 stopnie C, głęboki niż sypał w górach gęstym śniegiem i deszczem w dolinach. Mimo to o godz. 8.00 z Centrali wyruszyło 21 ratowników, zmuszonych po drodze do usuwania grubych świerków zwalonych na szosę do Morskiego Oka. Wyruszyli ze schroniska podzieleni na pięć zespołów. Pierwszy zdołał wprawdzie wdrzeć się na Wielką Galerię Cubryńską, lecz z powodu niezwyklegroźnego zagrożenia lawinami i trudności z torowaniem drogi, utknąwszy w zaspach, musiał się wycofać. Drugi powrócił ze Żlebu Mnichowego nie napotkawszy tam śladu zaginionych. Podobnie zespół z Małego Kotła. Nie udało się też kolejna próba dotarcia na Przełęcz pod Chłopkiem. Jednak jeden z zespołów pokonał Wrota Chałubińskiego i zszedł do Doliny Piarzystej. Tam, po próbie poszukiwań przy zerowej widoczności, zdecydował się zejść do Doliny Koprowej i wrócić przez Łysą Polanę.

O godz. 20.00 wszystkie zespoły znalazły się w Centrali. Ratownicy, wyczerpani, przemoknięci i przewiani na wylot, nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Oni, najlepsi z najlepszych, z wielkim

doświadczeniem zimowym, himalajskie i alpejskie wygi, zostali zatrzymani przez śnieżycę w terenie znanym im jak własna kieszeń! To niepowodzenie byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie dojmująca świadomość, że nie mogą spełnić swego powołania – ratowania życia. Cofnęli się, wiedząc, że w ścianie ginie samotny człowiek czekający na nich, ufający, że nadejdą w porę, że wyrwą go śmierci i otoczą opieką.

7 września warunki nie uległy zmianie. Ratownik, który udał się do Kotła celem przepatrzenia ściany w chwili rozjaśnienia, niewiele zobaczył. Silny wiatr porywający śnieg ze skał przestaniat urwisko nieprzejrzystą kurtyną.

8 września nastąpiła lekka poprawa pogody. Od wczesnego rana polski i słowacki śmigłowiec krążyły wokół masywu. Pieszy zespół wszedł ponownie do Kotła. O godz. 9.00, z pokładu słowackiej maszyny Alouette, Piotr Malinowski, kierujący wyprawami, dostrzegł zwłoki zawiewane śniegiem na półce w środku ściany. Niebawem trójka ratowników, wysadzona na szczycie Miękusowieckiego, rozpoczęła ryzykowne zjazdy, wśród obsuwającego się śniegu, obrywających się skorup lodowych, po oblodzonych płytach, pod ostrzałem spadających kamieni. Na półce znaleźli zwłoki zamarznętej dziewczyny. Oblodzone, ważyły ponad sto kilogramów. Nie widząc możliwości transportu do grani, skąd mógłby zabrać je śmigłowiec, zaczęli opuszczać je na dół. Jednak około stu dwudziestu metrów nad podstawą ściany musieli zrezygnować. Zadanie stało się zbyt niebezpieczne pod niestawnym i wzmagającym się ostrzałem lodu i kamieni. Zabezpieczywszy zwłoki, zjechali do Kotła.

W tym samym czasie, ratownicy przeszukujący Kocioł, odnaleźli odłamki kości czaszki i strzępy mózgu. Było to wskazaniem, że pod śniegiem znajdują się co najmniej jedne zwłoki. Noc przerwała akcję.

9 września, po kilku godzinach sondowania i przekopywania kilkumetrowych już warstw śniegu, natrafiono na linę wspinaczkową. Kopiając wzdłuż niej, odkryto na koniec ciała dwojga taterników. Z powodu ciężkich obrażeń, z trudem rozpoznano Magdalenę Dąbrowską i Marcina Tomczyka. Po dalszej godzinie dokopano się w odległości ośmiu metrów do spoczywających poniżej zwłok Jerzego Hirszowskiego. Po południu śmigłowiec zabrał ciała do Zakopanego.

9 września, wcześniej rano, słowacki śmigłowiec zawisł przed ścianą, a ratownik opuszczony na linie, przypiął do niej pozostawione tam zwłoki Małgorzaty Czubasiewicz i został przeniesiony wraz z nimi do Morskiego Oka, skąd ciało zabrała do kostnicy karetka zakładu pogrzebowego.

Nigdy się nie dowiemy, co naprawdę się stało w tej fatalnej chwili, gdy Jerzy Hirszowski szykując się do zjazdu runął w przepaść, pociągając za sobą dwoje towarzyszy.

* * *

Jednym z uczestników tej akcji ratunkowej był, przez zupełny przypadek, znany dziennikarz, taternik i ratownik-ochotnik, Andrzej Skłodowski z Warszawy. Przyjechał do Zakopanego z żoną, zamierzając nazajutrz przekroczyć granicę celem spędzenia urlopu w Tatrach Słowackich. Tam jednak, odwiedzwszy Centralę Pogotowia, usłyszał od ówczesnego naczelnika TOPR Piotra Malinowskiego, iż musi odłożyć swoje plany i wesprzeć ekipę ruszającą do Morskiego Oka, pobierając w tym celu z magazynu ekwipunek zimowy, buty, czekan, raki. Zdziwił się, bo był to zaledwie początek września, a w Zakopanem siąpił deszcz. Posłuchał, ale dotarłszy nocą do Morskiego Oka, gdzie było wprawdzie zimniej, ale również lało, z trudem powstrzymał się od uszczypliwej uwagi na temat owych raków. Za chwilę zrozumiał jak bardzo się mylił. Gdy siedział w schronisku pijąc herbatę, drzwi się otworzyły i do wnętrza wtoczyła się grupa ratowników powracających z Kotła Miękusowieckiego. Zaledwie ich poznawał, mieli ściągnięte mrozem twarze, a na sobie lodowe skorupy. Gdy podskoczył do Władysława Cywińskiego, pytając, co się dzieje w górze, usłyszał w odpowiedzi, że szaleje tam prawdziwe zimowe piekło. Niebawem miał się sam przekonać, że nastąpiło najdramatyczniejsze załamanie letniej tatrzańskiej pogody, jakie kiedykolwiek widział. Na poziomie jeziora padał deszcz, o trzysta metrów wyżej deszcz ze śniegiem, dalsze sto metrów i śnieżycą, zaś na dwóch tysiącach metrów oblodzenie i schodzące lawiny.

Pierwsze poszukiwania zaginionych nie dały wyniku, nie wiadomo było gdzie się w ogóle znajdują. Hirszowski nie miał radia. Uplynęły dwie doby, mimo niebezpieczeństwa szanse ratunku istniały. Jeśli zespół ukończył drogę, mógł schować się pod kamieniami albo zejść do Doliny Piarzystej, na słowacką stronę. Mógł być jeszcze w ścianie, lecz także na którejkolwiek z dróg zejściowych.

O godz. 19.00 ruszył patrol do Doliny za Mni-chem, z zamiarem ewentualnego dotarcia na Przełęcz Hińczową, Skłodowski zaczął błogosławić zimowe buty jakie włożył na nogi. Rozmięknięta breja wkrótce stała się głębokim śniegiem. Mimo iż zespół składał się z ratowników znających tu każdy kamień, mieli trudności ze znalezieniem drogi. Huraganowy wiatr miótł śniegiem. Nieprzejrzysta zasłona padających płatków, ciemności i mgła sprawi-

ły, iż wyszli za wysoko. Zdali sobie sprawę, iż szansa napotkania kogokolwiek, jeśli nie wejdzie się wprost na niego, jest żadna. O wejściu na przełęcz nie było nawet mowy. Po kilku godzinach kręcenia się na ślepo, jak pies za własnym ogonem, musieli zawrócić.

O godz. 5.00 ponownie wyruszyli. Trzydziestu ratowników, podzielonych na zespoły skierowało się w różne strony, stwierdzając niebawem, że to co w lecie jest tu zwykłą turystyką, teraz stało się niebezpiecznym alpinizmem zimowym. Zdawali sobie sprawę, że w tych warunkach, wręcz wiejących grozą, szansa przeżycia taterników nie posiadających odpowiedniego wyposażenia jest znikoma. Sądził, iż już nie żyją. Nie miało to zresztą wpływu na bieg poszukiwań. Wiedzieli, że jak zawsze zrobią wszystko, co w ich mocy, nie ustając aż do całkowitego wyjaśnienia. Niebawem mieli się przekonać, że to „wszystko” ma swoje granice. Jeden z patroli, złożony z najlepszych, najmłodszych, najsprawniejszych i najsilniejszych ratowników, po całodziennych usiłowaniach dostania się na Przełęcz pod Chłopkiem turystyczną ścieżką, został zmuszony do odwrotu! Skłodowskiemu „zjechały się włosy na głowie”, kiedy uświadomił sobie, jakie to musiały być warunki, z którymi nie poradził sobie nawet znajdujący się w zespole dwaj alpinści, którzy zaledwie przed rokiem wspinali się północną ścianą Eigeru!

Sam poszedł z zespołem mającym przepatrzeć zwykłe zejście z Mięgusa, przez Hińczową Przełęcz. Z pozoru zadanie było proste. Zaczęli torowanie od zakosów na „ceprostradzie”, ale całe godziny stracili, nim udało się wejść na Kopę Mnichową i Zadnią Galerię. Ściany pokrywało coś, co nie było ani śniegiem, ani lodem, lecz rodzajem lodowej szadzi, która obrywała się pod własnym ciężarem, uniemożliwiając zbliżenie się do jakiegokolwiek skały. Ciężkie skorupy sypały się nieustannie, bombardując podnóże ścian. Przebijając się metr za metrem w górę, porozumiewali się z pomocą radia, bo na odległość dwudziestu metrów nie było już słychać okrzyków. Poręczowali linami zwykłą letnią ścieżkę w nieustannym łaskocie spadających szadziowych panczerzy i odrywanych przez nie kamieni. Skłodowski, podobnie jak inni, szedł z duszą na ramieniu, wiedząc, że w każdej chwili może zginąć, trafiony takim pociskiem. Po zaporęczowaniu całego trawersu zaczęli wychodzić na górę, szarpani wiatrem o sile orkanu. Maciej Pawlikowski, który jako pierwszy zdołał przekroczyć krawędź Wielkiej Galerii, przeczołgał się jeszcze czterdzieści metrów, wgniatany podmuchem, który zmiatał wszystko cokolwiek wystawało nad powierzchnię śniegu. Po dwunastu godzinach zmagania na drodze, którą

w lecie pokonywali wżwyz w ciagu półtorej godziny, na dół w ciagu czterdziestu pięciu minut, musieli się wycofać. Porozstawiani wzdłuż poręczówek, widzieli jak są zasypywane lodowym żużlem i kamieniami, które lada chwila mogły trafić kogoś w głowę.

W radiotelefonie słyszał Skłodowski meldunki innych patroli. Ratownik, który zdołał przepelznąć przez Wrota Chatubińskiego, krzyczał, że spadł z drugiej strony i nie ma odwagi czołgać się z powrotem. O jakichkolwiek poszukiwaniach nie było jego zdaniem mowy. Postanowił schodzić na słowacką stronę.

Wszystkie patrole zostały wycofane. Wrócili na noc do Zakopanego. Przez cały następny dzień nie było najmniejszej zmiany, lecz kolejny przyniósł lekką poprawę pogody. Wrócili do Morskiego Oka, piętami mechanicznymi torując drogę przez zatory pni zwalonych przez huragan na szosę. Gdy pojawiły się w końcu przejaśnienia, Piotr Malinowski wezwał śmigłowiec, ale Pogotowie dysponowało wtedy maszyną Mi-2, która w tych warunkach mogła latać tylko z szybkością samolotu, a więc o żadnym przepatrywaniu terenu nie mogło być mowy. Poproszeni o pomoc Słowacy, przysłali swoją Alouette, od lat używaną w Alpach przez Francuzów, z której pokładu Malinowski wypatrzył w ścianie czyjeś zwłoki leżące w załupie, na drodze Świerza, kilkadziesiąt metrów poniżej wyjścia na filar. Trzech ratowników zostało dostarczonych kolejno na grań, skąd zjechali i stwierdzili, że to ciało dziewczyny.

W tym czasie Skłodowski i Janusz Śmiałek przeszukiwali podnoże ściany i tam znaleźli przypadkiem namacalne ślady tragedii, kawałki czaszki.

Prypadkiem, bo nadal nie było możliwości zbliżenia się pod ścianę, z której nieustannie sypała się ta lodowa lawina. Zrobili to w ten sposób, że jeden przywiązany do liny biegł pod ścianę, obserwowaną przez drugiego, po czym na okrzyk „leci!” rzucał się z powrotem. Za którymś tam skokiem, na grzbiecie żeberka, znaleźli szczątki kości i ciała.

Dopiero następnego dnia udało odnaleźć się pod zwałami śniegu rozbite ciała trojga taterników. Ta akcja nie osiągnęła celu, lecz stała się przykładem ostatecznego, dramatycznego zaangażowania się ratowników, bojących się i świadomych, że w każdej chwili mogą zginąć. Pokazała także, iż są granice możliwości Pogotowia. Latem niemal ich nie ma, wszędzie można jakoś dotrzeć, nawet we mgle i ulewie. Zdaniem Skłodowskiego, którego specjalnością górską są wspinaczki zimowe, istniało skrajne zagrożenie. Nigdy w swej praktyce, podczas trzydziestu sześciu sezonów, nie widział takiego piekła, takiej lodowej polewy, latających w powietrzu kawałków, świszczących wokół głowy.

Cytowany fragment dotyczy dramatu, który kilka lat temu wstrząsnął środowiskiem. Ta bardzo rzetelnie przedstawiona wersja wypadku pochodzi z książki Macieja Kuczyńskiego pod tytułem „Tatrzańskie dramaty”. Opisane są w niej tatrzańskie tragedie, których udziałem byli: turyści, taternicy i grotolazi. Książka ukazała się w wydawnictwie ABC Future, plac Słoneczny 4, 01-528 Warszawa.

Nasi na targach

Zwiedzając 44. Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, natknąć się można było na alpinistów występujących tu w innych wcieleniach. I tak w stoisku Bellony uzyskiwaliśmy autograf Janusza Onyszkiewicza na egzemplarzu wywiadu-rzeczki „Ze szczytów do NATO”. Książka, obok frapującej treści politycznej, zawiera też interesujące szczegóły z okresu górskiej i jaskiniowej kariery kolegi ministra, ukazując jak przeplatała się ona z wydarzeniami i przetomami czasów PRL-u. Efektowne refleksje dotyczące obecnej domeny Onyszka pojawiają się zresztą nawet na marginesie himalajskich wspomnień: „Na chorobę wysokościową zapadają


też często politycy. Jeśli ktoś za szybko zajdzie za wysoko, to traci zdolność rozeznania sytuacji.”

Michała Jagiełłę spotkać można było w stoisku jego stałego wydawcy – Iskier. Podpisywał „Trójkątną turnię”, „Za granią grań” i ostatnie wydanie „Wołania w górach”.

Wydawnictwo Prószyński i S-ka (Mieczysław Prószyński – prywatnie czynny wspinacz) intensywnie promowało swój przebój – „Czarną księgę komunizmu”, organizując cykl konferencji i spotkań z autorami – a wśród nich z Andrzejem Paczkowskim. Choć do dziś z nostalgią wspominamy nieźrównaną klasę, jaką prezentował podczas wieloletniego prezesowania „Peżecie”, widać z wielkiej aktywności twórczej Andrzeja, ile zyskała nauka na przekazaniu sterów naszego Związku.

Rafał Kardaś

Maciej Tertelis



**Podręcznik
turystyki górskiej
Lato**

Góry są jednym z niewielu środowisk, gdzie można zapomnieć o nękających nas kłopotach, odizolować się od powszedniej, czasami szarej rzeczywistości, spotkać interesujących ludzi i – być może – zdobyć przyjaciół. Chodzenie po górach to jednak nie spacer, na który możesz wybrać się spontanicznie, bez żadnego przygotowania.

Zanim wsiądziesz do pociągu jadącego w kierunku Zakopanego lub Chamonix, powinieneś zapewnić sobie odpowiednie wyposażenie gwarantujące pełne bezpieczeństwo oraz nauczyć się wykorzystywać jego możliwości. Wytrawny turysta zna się na rzeźbie skalnej, umie rozpoznawać górskie niebezpieczeństwa oraz wie, jak stawić im czoło. Potrafi przewidywać pogodę, a także poruszać się przy pomocy mapy i kompasu. Przygotowuje się strategicznie – dokładnie planuje wyjazd, studiuje dostępną literaturę, rozmawia ze znawcami regionu, gromadzi potrzebne środki finansowe, dokumenty i żywność, szczególnie ostrożnie wybiera partnera. Kiedy już zdecyduje, na jaki szlak się udać, odpowiednio się do niego przygotowuje taktycznie – sprawdza pogodę, trudności i szczegóły trasy, ustala do-

kładny plan czasowy, zostawia wiadomość o celu swej wędrowki.

Podręcznik turystyki górskiej ułatwi ci w miarę bezbolesne przebrnięcie zarówno przez wymienione wyżej, jak i wszystkie pozostałe etapy przygotowania. Pomoże ci odbyć wędrowkę w bezpieczny sposób – wyszukiwać drogę i poruszać się w każdym terenie (na znakowanym szlaku turystycznym i poza nim), wchodzić i schodzić, wędrować po zwykłej ścieżce pośród regli i po podniebnych perciach ubezpieczonych stalowymi łańcuchami i drabinkami. Zaznajomisz się z zasadami postępowania w razie wypadku i ze sposobami spędzenia zaplanowanej i nieprzewidzianej nocy pod górkim niebem. Podręcznik przybliży ci również podstawy taternictwa, ułatwiające być może osiągnięcie wymarzonego „wyższego stopnia zaangażowania”. Znajdziesz w nim aneks zawierający wiele cennych informacji – adresy sklepów, schronisk, klubów, biur turystycznych i przewodnickich, a także szkół wspinaczkowych. Na końcu zamieszczono słowniczek pojęć fachowych, dzięki któremu możesz błyskawicznie poznać lub przypomnieć sobie terminologię żargonową czy specjalistyczną.

Głównym celem podręcznika turystyki górskiej jest pomóc ci powrócić cało z górskiej wędrowki do domu i najbliższych, niezależnie od tego, czy jesteś turystą początkującym czy wytrawnym, harcerzem czy żołnierzem, niedoświadczonym czy też wprowadzonym już w podstawy tej sztuki wspinaczem. Jest to książka uniwersalna, przeznaczona zarówno dla turystycznego nowicjusza, który chce sobie kupić pierwszy prawdziwy plecak w życiu, jak i dla zaawansowanego turysty, który pragnie poznać technikę posługiwania się aparatem GPS.

Pierwszy tom podręcznika nawiązuje do górskiego lata, o tej porze roku powinieneś bowiem zaczynać swoją „górką karierę”. Drugi tom obejmie opis przygotowań do wyprawy zimowej, zarówno w Tatrach, jak w góry lodowcowe.

Podręcznik autorstwa Macieja Tertelisa ukaże się w wydawnictwie PELTA, Warszawa. W lipcu powinien znaleźć się na półkach księgarskich.

PIERWSI W TATRACH ZNANI Z NAZWISKA AD 1543

Od już ponad 100 lat jako pierwszą znaną z nazwiska osobę, która była w Tatrach, podaje się Beatę Łaską (wycieczka w r. 1565). Choć czasem później wysuwano hipotezy o wcześniejszej obecności w Tatrach innych znanych z imienia osób, to ponieważ wszystkie one były oparte na bardzo kruchych podstawach i zbyt daleko posuniętych wnioskach, wydawało się, że ten prymat Łaskiej pozostanie nie zagrożony. Ostatnio – w październiku 1996 r. – problem „kto znany z nazwiska był pierwszy w tych górach” rozważał Witold H. Paryski (*Pierwsi w Tatrach – nieznanymi i znani*, „Góry” 1996 nr 10 s. 73-75). On także stwierdził to samo i tekst swój skończył słowami: „A więc kto znany z nazwiska był pierwszy w Tatrach? Olbracht Łaski i jego żona Beata Łaska w 1565 r.”

Dzięki wydanemu w 1991 r. zeszytowi „Słownika historyczno-geograficznego województwa krakowskiego w średniowieczu” możemy poglądnąć ten zrewidować. W słowniku tym bowiem przypomniany został niezwykle, dla tatrologów jak sądzę wręcz rewelacyjny, dokument z 1543 r., który jak dotąd umknął ich uwadze. Wynika z niego, że możemy wskazać konkretne osoby i to znane z nazwiska, które były w Tatrach 22 lata wcześniej, niż byli w nich państwo Łascy. Miało to miejsce w trakcie wytyczania granicy między Kieżmarkiem a Białą (dziś Białą Spiską), czyli pomiędzy Polską a Węgarami (stąd wykonywali to przedstawiciele cesarza i reprezentanci króla polskiego).

Przytoczmy tekst dotyczący tego dokumentu w całości. Otóż jak podaje wspomniany słownik, w roku „1543 komisarze graniczni Mateusz Łobocki, delegowany przez cesarza (Karola V) i Hieronima Łaskiego (od 1528 r. właściciela dóbr kieżmarskich, ojca wspomnianego już Olbrachta – przyp. www), oraz Florian Zebrzydowski, Jakub (de) Lompnica (z Łomnicy), reprezentujący króla polskiego (Zygmunta Starego), i Stefan Bylina podstarości lubowski wytyczają (na Spiszu) granice pomiędzy Kieżmarkiem a Białą (...) wzdłuż strumienia Swarzbach (węg. Feketewyz, słow. Ciarna voda, uchodzi do Popradu 2 km na S od Białej) i Krompsseifen (węg. Sarpataka, zapewne rzeczka płynąca od wsi Rakusy, dopływ Ciernej wody (identyfikacja wątpliwa, bo Rakusy były po stronie węgierskiej, raczej chodziło o któryś z dopływów wyżej położo-

nych – przyp. www) ad Niveos Montes (Śnieżne Góry=Tatry), przez górę Kolenberg (nie zidentyfikowana) oraz drogą słowiańską zwaną Windischwegh i per Alpes do miejsca zw. Molenstad”.

Dokument ten świadczy o pobycie tych czterech osób w Tatrach. Wytyczanie granicy – zwłaszcza w sytuacjach szczególnie konfliktowych, jak ta między zachłannym Łaskim a Białą – wymagało bowiem jej przejścia lub, jeśli było to niemożliwe, osiągnięcia ważniejszych punktów wyznaczających jej przebieg. Tam np. stawiano kopce graniczne lub w inny sposób oznaczano ten fakt.

Granica między Białą a Kieżmarkim, czyli – przypomnijmy – między Węgrami a Polską, przebiegała w poprzek południowej części Tatr Bielskich i dalej górą częścią Doliny Kieżmarskiej, a więc można przypuszczać, że mniej więcej taką trasę przebyli wspomniani komisarze w 1543 r. O ile potrafimy dokładnie i jednoznacznie odtworzyć przebieg granicy na początkowym jej odcinku, tj. wzdłuż Czarnej Wody Rakuskiej, o tyle dalej są z tym problemy. Być może podjęcie stosownych badań pozwoli na zidentyfikowanie wszystkich obiektów, których nazwy wymienione są w dokumencie. Dziś na razie możemy tylko stwierdzić, że granica ta przecinała Tatry Bielskie (uznając oczywiście, że w ich obrębie są Steżki – może to gdzieś w ich masywie była owa „Kolenberg”?) i wiodła do Doliny Kieżmarskiej. Tam prowadziła „drogą słowiańską”, czyli najpewniej drogą zwaną później Polskim Chodnikiem, to jest szlakiem wiodącym przez Przełęcz pod Kopą (stąd zapewne zwana była „Windischwegh” – „wietrzna droga”). Najbardziej tajemniczy i najciekawszy jest ostatni obiekt, czyli miejsce zwane „Molenstad”, jako że dochodziło się do niego przez „Alpy”, czyli jak można sądzić przez skaliste partie Tatr.

Możemy więc obecnie chyba śmiało stwierdzić, że pierwszymi znanymi z nazwiska osobami, które były w Tatrach, byli wspomniani wyżej komisarze graniczni, trzej Polacy: Stefan Bylina, Mateusz Łobocki, Florian Zebrzydowski oraz Jakub z Łomnicy nieznanego narodowości w 1543 r. i przeszli oni poprzez południową część Tatr Bielskich do górnych partii Doliny Kieżmarskiej – niewykluczone, że na Przełęcz pod Kopą, a może i dalej.



Jaskinie i speleologia

Niebawem nowy otwór Śnieżnej?

W T. 4/98 (s.9) pojawiła się wiadomość o odkopaniu nowej jaskini w Dolinie Małej Łąki, powyżej Jaskini przy Przechodzie. W oparciu o relację M. Wierzbowskiego – jednego z uczestników tych prac – możemy uzupełnić informację o kilka szczegółów.

W lipcu 1998 r. przeprowadzone zostało dymienie w Partiach za Kolankiem, w tzw. Wilczym Ciągu. Dym niezwykle szybko, bo po 2 minutach pojawił się na powierzchni w żlebie, około 80 m powyżej otworu J. przy Przechodzie. Wydobywał się spomiędzy gruzu skalnego. W październiku rozpoczęto prace eksploracyjne. Po przekopaniu około 3 m członkowie SG Wrocław – Grzegorz Dokurno, Wojciech Kraszewski, Rafał Mateja, Tomasz Sobański i Marek Wierzbowski odkryli nową jaskinię o długości około 20 m, z siedmiometrową studnią. Strop jej jest lity, występuje jednak znaczna kruszyzna (podczas eksploracji obwał zasypał fragment odkopanej próżni), a silny przewiew wydobywa się spomiędzy want i gruzu skalnego. Spływa w niej niewielka struga wody – podobnie jak w pobliskim Wilczym Ciągu Śnieżnej, w którym widać liczne znamiona bliskości powierzchni. Czas przepływu powietrza wskazuje, że odległość dzieląca oba ciągi jest niewielka. Uzyskanie połączenia nie wygląda podobno jednak na zbyt łatwe. Latem zapowiadane są próby. Czekamy na informacje...

rk

Korek na -400

Kilka lat temu Speleoklub Bobry z Żagania postawił sobie za cel zdobycie najgłębszych studni jaskiniowych świata. Do tej pory pokonane zostały: Hades (-450 m, Austria), Provatina (-407 m, Gre-

cja), Sotano del Barro (-410 m, Meksyk) i najgłębsza na świecie Vrtglavica (-643, Słowenia).

Celem kolejnej wyprawy było przejście Brezno pod Velbom – trzeciej pod względem głębokości studni świata. W 1994 r. to właśnie Brezno, odkryte w słoweńskiej części masywu Monte Canin, odebrało trzynastoletni rekord świata żagańskiemu Hadesowi. Mieliśmy więc z tą jaskinią i prywatne porachunki.

25 marca br. w składzie: Tomasz Kuźnicki, Daniel Oleksy, Marcin Furtak (Speleoklub Bobry Żagania) i Artur Nowak (Speleoklub Gawra Gorzów), zameldowaliśmy się w Słowenii. W tym czasie w Kaninie kończyła właśnie działalność grupa walmbrzyjskich grotolazów, dokonując drugiego polskiego przejścia Vrtglavicy. Relacja walmbrzyżan o warunkach pogodowych nie wróżyła nic dobrego. Mimo to, wraz z Danielem Oleksym wyruszyliśmy jako pierwsza dwójka do Brezna. Kilkugodzinne poszukiwania otworu przyniosły efekt dopiero wieczorem. Następnego dnia przystąpiliśmy do akcji w jaskini. Brezno, oprócz studni ciągnącej się do -501 m, ma dalsze ciągi schodzące do głębokości -759 m. Mieliśmy za zadanie zjechać do dna i wyciągnąć wiszące w jaskini od dwóch lat stare słoweńskie liny do poziomu -500 m.

Przy zerowej widoczności, w typowo zimowych warunkach rozpoczęliśmy zjazd. W początkowej części studni o szerokości 4 do 8 m zalegała mgła. Już od samego otworu ściany pokryte były naciekami lodowo-śnieżnymi. Im głębiej, tym lodowe sople stawały się większe. Od -130 m studnia poszerza się kilkakrotnie, dochodząc do 30 m. Zaczęliśmy tu mieć problemy z linami, które pokrywała gruba warstwa lodu. Od -300 trzeba było je wykuwać spod osiagającej 20 cm grubości skorupy lodu.

Potencjalny światowy rekord głębokości jaskini 4500 metrów?!

Osiągnięcie głębokościowego rekordu świata w Lamprechtsofen z wynikiem 1632 metry sprzyja zastanowieniu jaki będzie ostateczny rezultat rekordowej głębokości jaskini. Potencjalne możliwości masywu Leoganger Steinberge, w którym znajduje się „Lampo”, nie są wiele większe od uzyskanej już deniwelacji, przekraczają 1700 m, ale nie osiągają 2000 m.

Znacznie większe potencjalne możliwości znajdujemy w Szwajcarii. Tam największa udowodniona deniwelacja krasowego systemu wynosi już 2200 metrów. Taka jest bowiem różnica wysokości między Gouffre du Grand Cor a odwadniającą ją wywierzykiem La Sarva, znajdującym się w dolinie Rodanu. Górna część tego systemu została już poznana jako jaskinia mająca -598 m głębokości.

Jednakże przyszłe światowe rekordy głębokości należeć będą do jaskiń pozaeuropejskich. Dla przykładu, w Meksyku jest już udowodniony przepływ krasowy o deniwelacji wynoszącej około 2500 metrów (jego część została już poznana).

Jest to jednak jeszcze niewiele wobec potencjalnego najgłębszego w świecie krasowego systemu jaki znaleziono przed kilku laty w Azji. Stwierdzono tam bowiem (w trakcie wyprawy „Karakorum '93”) możliwość istnienia systemu o wręcz niewyobrażalnej deniwelacji – blisko 4500 metrów! Tyle właśnie – jak informowano – ma wynosić maksymalna różnica wysokości między miejscami, gdzie może wpływać woda, a strefą wywierzykową. System ten znajduje się w Pakistanie, w rejonie Gojal, w masywie Karun Kuh o wysokości 7350 m n.p.m. (wg Jerzego Wali, wysokość jego jest mniejsza i wynosi 7164 m). Ten najwyższy masyw gór Ghujerab, znajdujących się w pn. części Karakorum, ma być odwadniany przez wielkie wywierzyisko Krouze Kouk leżące na wysokości 2850 m n.p.m. Łączności tej jednakże nie potwierdzono jeszcze barwieniem.

Wojciech W. Wiśniewski



Zaplątany.

Fot. A. Głowacki



W Brenzo pod Velbom.

Przydatny okazał się również stumetrowy odcinek liny zabrany przez nas z bazy. Wykuwanie oporęczowania, jak i oczyszczanie ścian z nawisów lodowych przedłużało akcję. Ostatni odcinek zjazdu pokonaliśmy po naprężonej linie, która wrażliwa w śnieżny piarg. Po wyzywcowaniu na dół śnieżnego stożka stanęliśmy na lodowej tafli. Dalszą drogę zagradzał lodowy korek, w którym niknęły dwie żyły słoweńskich lin. Próby kucia spęły na niczym i, niestety, osiągnąwszy prawie -400 m musieliśmy wycofać się na powierzchnię. Cała akcja w jaskini zajęła nam 8 godzin. Na górze trafiliśmy na totalne załamanie pogody – mgła, śnieżycy, silny wiatr. Drogę powrotną, która zajmuje dwie godziny, my pokonywaliśmy dwa ... dni. Na szczęście zdążyliśmy odwołać organizowaną po nas akcję ratunkową słoweńskich ratowników.

Wykorzystując nadmiar czasu, już we czwórkę wyruszyliśmy do Chorwacji, gdzie wspólnie z grotolazami z klubu Had z Porec dokonaliśmy przejścia najdłuższej jaskini Istrii – Jama Bregi (3 km długości i 267 m głębokości).

Marcin Furtak

Niżej niż kondory

Telewizja polska raczy nas co tydzień serialem „Projekt X”, w którym Bogusław Linda wraz z przyjaciółmi oddaje się różnym prawdziwie męskim sportom. W odcinku emitowanym 9 maja epatował nas historią o tym, jak wraz z ekipą (filmowcy i TOPR-owcy) długo i pracowicie wdzierał się na Mnicha. Cykl ten ma zapewne na celu utwierdzenie nas w przekonaniu, jak niebawale wszechstronnym i nieustraszonym człowiekiem jest nasz ulubiony Idol, jednak po odcinku wspinaczkowym, nam, ludziom wspinającym się, trudno jest w tym przekonaniu wytrwać. Zapewne dla tzw. Przeciętnego Widza Mnich jest górą symboliczną, efektowną, i trudną do zdobycia, jednak my, wspinacze, wiemy, że przeciętnie sprawna osoba, nie cierpiąca na lęk wysokości, wdrzeć się na nią może bez asekuracji, a tym bardziej bez poręczówek. Takie potraktowanie tematu wspinaczkowego można porównać do nakręcenia filmu o nurkowaniu... na basenie kąpielowym. Nie zapominajmy jednak, że posługiwanie się małpą (według Lindy „planią”) też wymaga pewnej krzepy, co Idol wykazał. Aby przybliżyć Przeciętnemu Widzowi kwestie wspinaczkowe, Bogusław Linda z za kadru sączy swym aksamitnym głosem tzw. podstawowe wiadomości. Dowiadujemy się, że nie wiadomo dlaczego buty do wspinania nazywano kiedyś „kleterkami” (ciekawe, dlaczego?), że w górach stosuje się „ubezpieczenie” (ZUS, Warta?) i że podczas wspinaczki należy stosować zasadę trzech punktów podparcia. Obserwując poczynania Bogusława Lindy można było odnieść wrażenie, że te trzy punkty to dwa kolana i siedzenie.

Dziękując za dobra zabawę, proponujemy kombinację dróg, składającą się z Orłowskiego, Robakiewicza i poręczówek, nazwać „Warianty Lindy” lub „Wariant X” (zrobić iksa, iść na iksa, wisieć w ławach na ikxie, odhaczyć ikxa).

Naprawdę, jaka jesteś...

Wandzie Rutkiewicz, niezależnie od tego, w jakim świecie czy też za-świecie przebywa, nie dane jest zaznać spokoju. W miarę upływu lat staje się ona postacią coraz bardziej tajemniczą i mityczną,

a to na skutek wytężonej działalności dziennikarzy, którzy, chyba z braku tematów, znów zainteresowali się jej osobą. Po spóźnionym, zadziwiająco nieprofesjonalnym i chyba niepotrzebnym filmie Anny Teresy Pietraszak, po artykule autorstwa Wojciecha Tochmana w „Wysokich Obcasach”, wydano kolejną książkę pod tytułem: „Więcej o Wandzie Rutkiewicz”. Książka ukazała się w wydawnictwie „Comer”, a jej autorkami są Barbara Rusowicz i Joanna Bandurska. Autorki, oprócz wypowiedzi samej Wandy na rozmaite tematy, zamieszczają także rozmowy o Wandzie z różnymi luminarzami naszego życia salonowego i kulturalnego, m.in. z Krzysztofem Zanussim, Krystyną Koftą, Małgorzatą Domagalik i Jackiem Santorskim. O klasie książki świadczą tytuły rozdziałów: Skryta, Samotna, Poirytowana, Patologicznie ambitna, Nadkobieca, Egoistyczna, Rozczarowana, Konfliktogenna, Mocna, aż wreszcie ostatni – Wanda Rutkiewicz, harpia, pirania czy anioł.

Z niecierpliwością oczekujemy na kolejne tomy: „Jeszcze więcej o Wandzie Rutkiewicz” i „Wszystko o Wandzie Rutkiewicz”.

Miejsce pod stołem

Na fali zainteresowania mediów naszym ciekawym sportem w ulubionej „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł pani Joanny Wojciechowskiej o trzech młodych ludziach uprawiających wspinanie w niezwykle wysublimowanej formie, a mianowicie, „są na etapie ośmiotysięczników”. Jest to artykuł bardzo pożyteczny dla nas, ludzi gór, bowiem uświadamia nam, w czym tkwimy i co sobą reprezentujemy, trzymając się tzw. środowiska wspinaczkowego jak pijany płotu. Jesteśmy mianowicie bankrutami, uprawiającymi górskie kombatantstwo, nosimy swetry do kolan, flanelowe koszule i niczym stare bezzębne i wyliniałe wilki, popijając w zapyziałych schroniskach darmowy wrzątek, karmimy się wspomnieniami minionej chwaty. A właściwie karmią się tylko ci, którzy nie popadli w alkoholizm i których nie poopuszczają żony. Tęsknimy za komunizmem, bo wtedy jeździło się na prawdziwe wyprawy i można było do woli szmuglować bibułę. (Gwoli ścisłości nadmienić należy, że gdyby ludzie z tzw. środowiska nie szmuglowali bibuły, to opisy-

wani w artykule wspinaczce yuppies nie tylko nie mieli w swoich szafach „ze szlachetnych welen garniturów”, ale też pewnie ośmiotysięcznika nie zobaczyliby nawet z daleka.)

Skazani jesteśmy na zżerający nas smutek za dawnymi czasami i nie możemy się nawet trochę rozweselić, idąc np. do kina, bo nie wiedzielibyśmy jak się tam zachować!

Oprócz wdzięczności z powodu oświecenia nas w materii naszego niewesołego położenia odczuwamy też ogromne współczucie dla wspinających się biznesmenów. Bo jak tu nie współczuć komuś, komu wszędzie jest nudno. Tatry – nudno, Beskidy – nudno, Rzym – nudno, Łazury Wyrzeże – tam to dopiero nudno! No, może na szczycie ośmiotysięcznika jest trochę weselej, ale też nie za bardzo, bo zaraz trzeba dawać „rurę na dół”.

Na zakończenie klasa turystyczna pozdrawia klasę biznesową i życzy szybkiego zdobycia wszystkich ośmiotysięczników bez zdejmowania garniturów.

Jurassic Park

Pełną parą ruszył już w Rzędkowicach pensjonat Duński i Zbyszka Wachów. Do dyspozycji gości są pokoje z łazienkami, świetlica, można także wykupić obiady. W planach jest również bar i stołówka. W razie niepogody można pofilozofować z Gospodarzem i wymienić najnowsze plotki z Gospodynią.

Ciekawym wzbogaceniem oferty pensjonatu mogłaby być wypożyczalnia rowerów górskich.

Tego roku w maju 25. rocznicę działalności wspinaczkowej obchodzili Jerzy Brenneisen i Tomasz Kopyś z KW Warszawa. Uroczystości ku czci w Podlesicach niestety nie odbyły się z powodu tajemniczej i nonszalanckiej absencji jednego z jubilatów.

Andrzej Machnik, znany wspinacz, pisarz i filozof, leżąc pod skałką o nazwie Sowa wyznał, że ukończył właśnie kolejną książkę. Jej tematem jest prakseologia.

VII Przegląd Filmów Alpinistycznych im. Wandy Rutkiewicz (14-15.05.1999)

Od 1993 r. Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie organizuje w połowie maja, dla upamiętnienia daty zaginięcia Wandy, tę kameralną, lecz ważną imprezę. Organizatorką przeglądu – Wiesława Wiśniewska – piątkowy program poświęca pierwszej damie światowego himalaizmu. Obok programu telewizyjnego „100 pytań do Wandy Rutkiewicz” zaprezentowane zostały m.in. filmy, które Wanda zrealizowała („Requiem”, „Gdybyś przyszedł pod tę ścianę”), lub przy których powstaniu współpracowała („Tango” K. Langa) i Jej poświęcone. Znalazło się też miejsce na przypomnienie 60 rocznicy himalajskiego debiutu Polaków („Nanda Devi East” – A.T. Pietraszek). Drugi dzień był dniem Jerzego Kukuczki, w związku z mijającą w tym roku dziesiątą rocznicą Jego śmierci. Obok „100 pytań do Jerzego Kukuczki”, ważnymi pozycjami tego dnia przeglądu były zrealizowane po tragedii na południowej ścianie Lhotse materiały o Nim („Jerzy Kukuczka – pożegnanie” A.T. Pietraszek oraz „Land der Berge”). Druga z wymienionych pozycji spinała symboliczną klamrą obie części przeglądu, będąc zapisem programu telewizji austriackiej prowadzonego przez Wandę, a poświęconego Jurkowi. Gościem sobotniej projekcji była Celina Kukuczka, a twórców reprezentowała Anna Teresa Pietraszek, autorka 3 spośród 18 pokazy-



Celina Kukuczka z organizatorką przeglądu Wiesławą Wiśniewską.

Fot. Z. Anderszewski

wanych filmów. Niewielką salkę, z ekspozycją zdjęć oraz pamiątek po J. Kukuczce, wypełniło około 50 widzów. Dodatkową atrakcją było towarzyszące imprezie stoisko kieleckiego Antykwarium Górskiego „Filar”. Muzeum wydało folder z tekstem W. Wiśniewskiej oraz program przeglądu.

Rafał Kardaś

Zawody wspinaczkowe SGH

13 maja o godzinie 13¹³ rozpoczęły się pierwsze zawody wspinaczkowe rozegrane na ścianie wspinaczkowej w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Były one debiutem na tym polu (dodajmy bardzo udanym) młodej sekcji wspinaczkowej AZS, a dla osób spoza uczelni pierwszą możliwością podziwiania nowego (otwartego w styczniu br.) obiektu wspinaczkowego w stolicy. Zbudowana z płyt sklejk ściana mimo niewielkiej wysokości (4,5 m) ma urozmaiconą konfigurację (pion, jednostajne przewieszenie, okap), a jej atrakcją stanowi spora strefa sufitu, w której ustawione były istotne odcinki obu dróg – eliminacyjnej i finałowej. Wystartowało 17 osób z sekcji wspinaczkowej, a poza konkursem dwóch zawodników reprezentujących KW Warszawa. Kilkudziesięciosobowa publiczność żywo reagowała na pełne emocje zmagania – zwłaszcza widowiskową walkę z grawitacją i efektowne loty w suficie. Wśród 6 finalistów piękne zwycięstwo odniósł Piotr Kalisz, jako jedyny kończąc drogę finałową. Niewiele ustępowali mu sklasyfikowani ex aequo na drugim miejscu Patryk Białokozowicz i Dariusz Napora. Imprezę uatrakcyjnił sponsor (mieszczący się po sąsiedzku przy ul. Batorego 9 sklep firmowy Alpinusa) fundując koszulki firmowe i nagrody dla zawodników oraz upominki dla publiczności. W nagradzaniu zwycięzców miał też swój skromny udział PZA. Głównym organizatorem sprawnie rozegranej i sympatycznej imprezy był Jarosław Gołębiowski.

26 maja 1999 r. na ścianie w II Liceum Społecznym w Warszawie odbyły się zawody KW Warszawa. Były to zawody skromne i wewnętrzne, lecz nie pozbawione emocji. W szranki stanęło 15 zawodników i jedna zawodniczka – 13-letnia Kasia Jurek z Warszawy, której dzielnie kibicował tata.

Pierwszą drogę, o trudnościach 6,1 przeszli prawie wszyscy zawodnicy, w tym Kasia. Zmagania na drugiej drodze mającej wyłonić zwycięzców, miały przebieg bardziej dramatyczny ze względu na dużą (zbyt dużą?) trudność drogi. Wystarczy powiedzieć, że w całości pokonał ją tylko jeden zawodnik, reszta spadała po trzeciej wpince, a nielicznym szczęściarzom udało się dotknąć niedosięzłego chwytu nr 29.

Pierwsze miejsce, pokonawszy drogę w pięknym stylu, zajął Paweł Olek, drugi był Piotr Kalisz, a trzeci Marek Fliśnik.

Prawdziwą sensacją i atrakcją zawodów była



wspomniana już Kasia Jurek – na zdjęciu. Kasia wspina się zaledwie od roku, ale bez wątpienia jest prawdziwym talentem. Siła spokoju, duże wysięgi i dobra technika sprawiają, że niejeden dorosły wspinacz mógłby jej pozazdrościć. Poziom, na jakim dziewczynka się wspina, wymaga systematycznego i specjalistycznego treningu, na razie jej jedynym trenerem jest tata, a trening polega na tym, że parę razy w tygodniu przychodzą na ściankę (również tę w Błoniu i „u strażaków”). Na razie nie ma, przynajmniej w Warszawie, nikogo, kto mógłby profesjonalnie zająć się utalentowaną Kasią i poprowadzić ją ku wielkości. Kasia i jej tata oczekują na propozycje.

Beata Słama

Wędką w Hejszowinie

Andrzej J. Makarczuk poinformował w „Taterniku” (1/1999 s. 33) o wprowadzonym (kiedy?) prawnym zakazie stosowania wędkę (czyli wspinania się z górną asekuracją), jaki na mocy porozumienia zawartego między Parkiem Narodowym Gór Stołowych a Polskim Związkiem Alpinizmu obowiązuje w Hejszowinie. Za złamanie tego przepisu przewiduje się karę pieniężną w postaci mandatu lub sprawę dyscyplinarną w kolegium ds. wykroczeń. Intencją ustawodawcy, jak miemam, jest ochrona skały, rzekomo bardziej narażanej na zniszczenie w trakcie wspinaczki na wędkę. Abstrahując od tego, że pogląd ten wydaje się być błędny (o czym poniżej), chciałbym zauważyć, że ów przepis

kompletnie odstaje od codziennej praktyki wspinaczkowej. Otóż zwykle w każdych skałkach (w tym również w Hejszowinie), w których drogi nie przekraczają 30 m długości, po zakończeniu prowadzenia mamy jak wiadomo zasadniczo dwie możliwości ustawienia się na stanowisku i asekurowania partnera. W zależności od ukształtowania terenu i indywidualnych upodobań możemy: 1) zostać u góry na stanowisku i ściągać do siebie partnera. 2) zjechać pod ścianę i asekurować swojego partnera na wpiętej na stanowisku u góry linie (a to właśnie jest typowa wędka!). Z wielu oczywistych powodów, jak wygoda, możliwość zmiany butów, konieczność instruowania partnera czy po prostu zwyczajnie chęć przybrania wygodnej pozycji, ten drugi sposób stosowany jest – przynajmniej przeze mnie – częściej. I za to ma być kara?

Być może czegoś nie wiem, ale z moich obserwacji wynika, iż wspinaczka z górną asekuracją na wędkę jest niewątpliwie tak samo – o ile nie bardziej – „ekologiczna”, jak wspinaczka tzw. klasyczna. Wspinając się na wędkę nie czynimy w skałę żadnych zniszczeń, co więcej, nie są nam potrzebne do tego jakiegokolwiek haki i inny ciężki sprzęt. Oczywiście, że drogi należy prowadzić, bo to daje większą przyjemność, ale jeśli ktoś chce coś przejść na wędkę, to niech ma taką możliwość (pomijając rzecz jasna pierwsze przejścia, które w tym akurat rejonie rządzą się swoimi prawami). Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że np. dla osób niepełnosprawnych jest to jedyna często szansa wspinania się w skałę. Nie mamy prawa im tego zabierać przez wprowadzanie nieprzemyślanych przepisów.

Leon Maria Hejszyk

Mięguszowiecki Szczyt

nowa droga z zimy 1998/99 i ważniejsze drogi zimowe na północnej ścianie (zaznaczono warianty najpopularniejsze zimą, niekoniecznie zdobywców)

1. PRAWY KOMIN na ścianie czołowej filara Mięgusza V+, krucho, 100 m

1p: Andrzej Nabzyk i Jędrzej Zieliński, 8.08.1987 (dalej grzędą 1. Tumi w Filarze)

Zimą: Jarosław Caban i Arkadiusz Gąsienica-Józkowy, 24.01.1990

Popularne zimą stają się warianty szeroką grzędą aż na krawędź Filara (łącznie 400 m wysokości)

2. „TRAWIATA”, nowa droga z zimy 1998/99 r. III-IV, 8 h, 300/650 m

1p: Andrzej Dutkiewicz, Alicja Paszczak, Artur Paszczak i Michał Zieliński, 30.12.1998

Droga oferuje 10 wyciągów wspinaczki w nowym terenie w zmrożonych trawkach, bez śniegu

3. „DIRETTISSIMA” IV, 6-12 h (zimą), 600 m

1p: Stanisław Biel, Jerzy Honowski i Zbigniew Rubinowski, 13-14.02.1953 (zimą); 1p letnie 1954

Zdobywcy środkowy odcinek przeszli w sposób bardzo zbliżony do Superdrettissimy (nr 5)

4. „PÓŁNOCNA MIĘGUSZA”, droga zwykła III+, 3-6 h, 600 m

1p: Stanisław Krygowski, przew. Jędrzej Marusarz st. i Jan Stopka Ceberniak mł. 2.08.1906.

1pz całości (ale wyjście Zachodem Janczewskiego): Zbigniew Korosadowicz i Jan Staszal, 7-9.04.1936; 1pz w zimie kal. i z wyjściem wprost: Karol Jakubowski i Stanisław Worwa, 6-7.01.1949

Opis: WHP 889 (889 AB, C lub D, EJKLN); Itin: T 1-2/1949 s. 71

5. „SUPERDIRETTISSIMA” VI, A0, 12-24 h (zimą), 850 m

1p: Dennis Davis, Wojciech Kurtyka i Kazimierz J. Rusiecki, 2-3.02.1973 (zimą)

U dołu zdobywcy szli wariantem zacięciem na bulę, od lat 80. często chodzony jest lodospad wprost

6. „HIŃCZOWA WPROST” z Małego Kotta (dr. Staniszewskiego) III, 3 h, 350 m

1p: Stanisław Porębski i Adam Staniszewski, VIII. 1906

Zimą: Marian Sokołowski i Karol Wallisch, 9.04.1928

Opis: WHP 882

(oprac. G. Głazek)

(Zdjęcie na trzeciej stronie okładki)

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI

7-dniowy kurs wspinaczki
w "Sokolikach" w/g programu PZA.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach.

Instruktorzy PZA:

Bogna Jakubowicz
Piotr Jaskiewicz
Tomasz Kliš
Wojciech "Dozent" Wajda

Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław **CAVE**
ul. Czysła 7 **SPORT**

tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onyx.com.pl

CONTENTS

- 1 – A talk with Leszek Cichy
- 4 – A talk with Wojciech Świącicki
- 6 – A reply to the former president
- 7 – Funny bans
- 8 – Everest – succes and tragedy
- 9 – Arctic lesson
- 16 – Winter in Feichtnerschachthöhle
- 17 – Using the rope in rock and ice
- 22 – Pit Schubert
- 23 – Belay and go
- 26 – Popularity of climbing in past years
- 27 – Tree trainees and the trainer
- 31 – Our folks at fairs
- 32 – Handbook of tourism and mountains
- 34 – Caves and speleology
- 36 – Different things

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

ALPINIZM - TURYSTYKA

Polecamy
w szerokim zakresie:

- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

Instruktaż i szkolenie w zakresie
technik alpinistycznych.
Sklepy prowadzą alpiniści i grotolazi

Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

SKLEP FIRMOWY

ul. K. Szajnochy (róg Gepperta), tel. (071) 72-36-31

CAVE
SPORT



alpinus

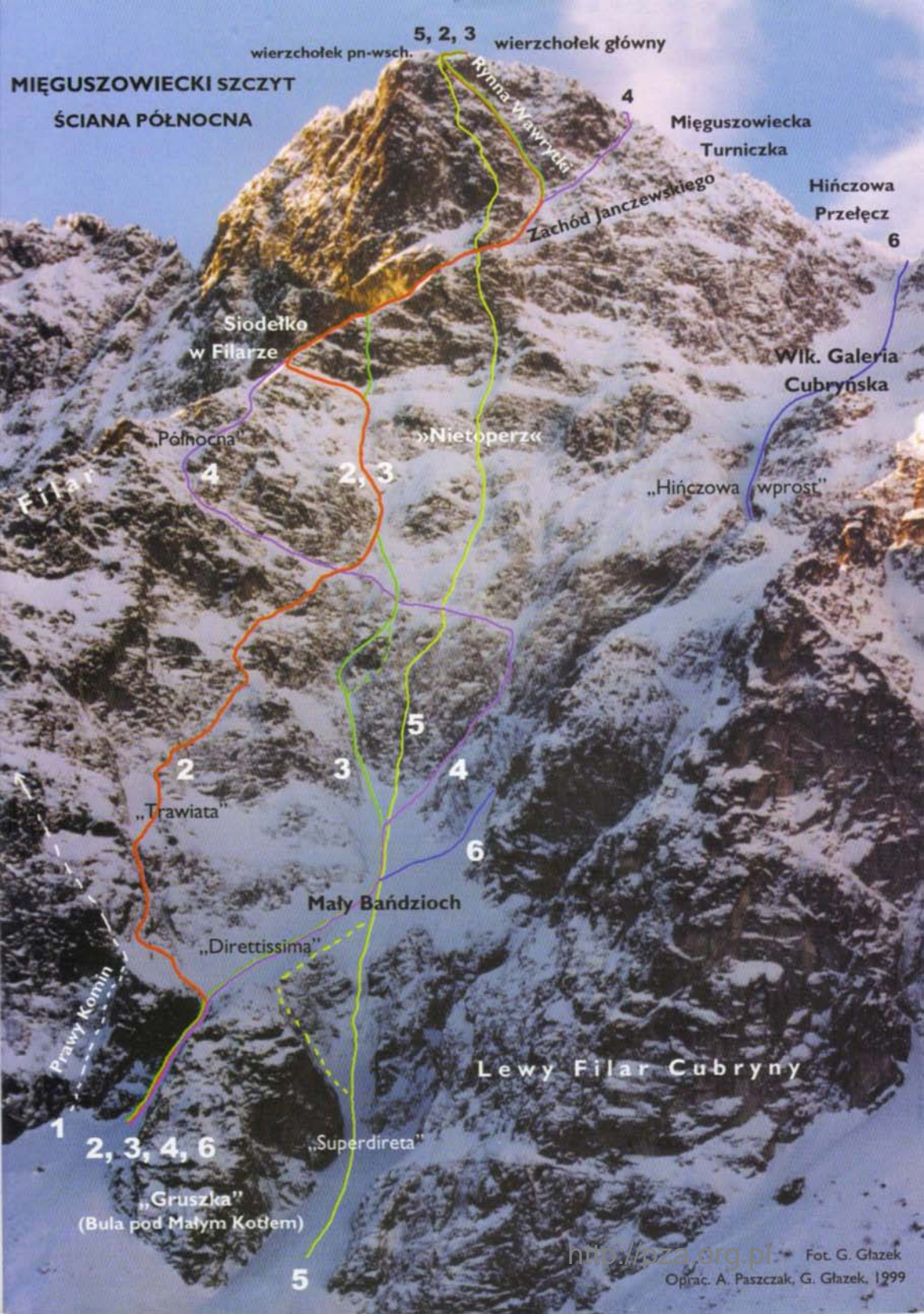
Jelenia Góra: ul. Krótka 3

Zapraszamy

Dla stałych klientów niżki

MIĘGUSZOWIECKI SZCZYT

ŚCIANA PÓLNOCNA



wierzchołek pn-wsch.

5, 2, 3 wierzchołek główny

Mięszowiecka Turniczka

Hińczowa Przełęcz 6

Zachód Janczewskiego

Siodełko w Filarze

Wlk. Galeria Cubryńska

„Północna”

»Nietoperz«

„Hińczowa wprost”

Filar

„Trawiata”

Mały Bańdziuch

„Direttissima”

Lewy Filar Cubryny

Prawy Komin

„Superdireta”

„Gruszka”
(Bula pod Małym Kotłem)

CZY PLUS CZY MINUS

Wiele razy byłem już na szczycie
ale nigdy nie zastałem tam
tabliczki z napisem
„Koniec Świata”.

Dlatego zawsze wracam do domu,
przebieram się, jem
i zasypiam.

Nazajutrz niesie mnie
szukać dalej...

*Piotr Pustelnik
himalaista*

ZAWSZE



alpinus

Alpinus SA, 41-600 Swięcno, ul. Ceramiczna 2

www.alpinus.pl

